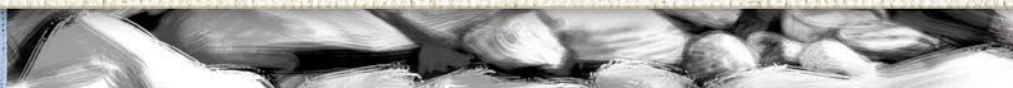




*Przygody dobrego
wojaka Szwejka*

JAROSLAV HAŠEK



*Przygody dobrego
wojaka Szwejka
podczas wojny światowej*

JAROSLAV HAŠEK

*Przygody dobrego
wojaka Szwejka
podczas wojny światowej*

Przekład: Paweł Hulka-Laskowski



Tytuł oryginału: ***Osudy dobrého vojáka Švejka za světové války***

Przekład: **Paweł Hulka-Laskowski**

Tekst książki *Przygody dobrego wojaka Szwejka* Jaroslava Haška na podstawie edycji zamieszczonej w serwisie Wolne Lektury (www.wolnelektury.pl; CC-BY-SA 3.0)

Korekta: **zespół Wydawnictwa SBM**

Opracowanie graficzne: **Jacek Bronowski**

Projekt i opracowanie graficzne okładki: **Anna Witwicka**

Ilustracje na okładce: **Anna Jaroń**

© Copyright for the Polish edition, cover and layout by Wydawnictwo SBM, 2022

Warszawa 2022



Wydawnictwo SBM Sp. z o.o.
ul. Sułkowskiego 2/2
01-602 Warszawa
www.wydawnictwosbm.pl

ISBN 978-83-8222-037-7

Spis treści

Wstęp	7
Tom pierwszy	
Szwejk na tyłach	9
I. Jak dobry wojak Szwejk wkroczył na widownię wojny światowej.....	10
II. Dobry wojak Szwejk w dyrekcji policji.....	21
III. Szwejk przed lekarzami sądowymi	31
IV. Szwejk wypędzony z domu wariatów.....	38
V. Szwejk w komisariacie policji przy ulicy Salma.....	43
VI. Szwejk przerywa zaczarowane koło i wraca do domu	52
VII. Szwejk rusza na wojnę.....	64
VIII. Szwejk symulantem	71
IX. Szwejk w garnizonie.....	88
X. Szwejk zostaje pucybutem kapelana polowego	110
XI. Szwejk jedzie z kapelanem odprawić mszę polową	134
XII. Dysputa religijna	144
XIII. Szwejk idzie namaszczać.....	152
XIV. Szwejk zostaje pucybutem porucznika Lukasa	168
XV. Katastrofa	212
Epilog	226
Tom drugi	
Szwejk na froncie.....	231
I. Przygody Szwejka w pociągu.....	233
II. Budziejowicka anabasis Szwejka	254
III. Przygody Szwejka w Királyhíd.....	325
IV. Nowe cierpienia	389
V. Z Brucku nad Litawą ku Sokalowi.....	415
Tom trzeci	
Przesławne lanie	463
I. Przez Węgry	465
II. W Budapeszcie	525
III. Z Hatvanu do granic Galicji	580
IV. <i>Marchieren! Marsch!</i>	634
Tom czwarty	
Po przesławnym laniu	687
I. Szwejk w transporcie jeńców rosyjskich	689
II. Pociecha religijna.....	717
III. Szwejk wraca do swojej kompanii marszowej	727

Wstęp

Wielkie czasy wymagają wielkich ludzi. Istnieją bohaterowie nieznani, skromni, bez sławy i historii Napoleona. Analiza ich charakteru zaćmiłaby jednak sławą nawet Aleksandra Macedońskiego. Dzisiaj na ulicach praskich możecie spotkać steranego życiem człowieka, który sam nawet nie wie, jakie znaczenie ma w historii nowych wielkich czasów. Idzie sobie skromnie swoją drogą, nikomu się nie naprzykrza i jemu też nie naprzykrzają się dziennikarze, którzy domagaliby się od niego wywiadu. Gdybyście go zapytali, jak się nazywa, odpowiedziałby wam skromniutko i prosto: „Jestem Szwejk”.

Otóż ten cichy, skromny człowiek jest naprawdę tym starym, poczciwym wojakiem Szwejkem, mężnym i statecznym, który niegdyś za czasów Austrii był na ustach wszystkich obywateli królestwa czeskiego, a którego sława nie zagaśnie nawet w republice.

Bardzo kocham zacnego wojaka Szwejka i opisując jego losy czasu wojny światowej, mam nadzieję, że wy wszyscy będziecie sympatyzowali z tym skromnym, nieznanym bohaterem. On nie podpalił świątyni bogini w Efezie, jak to uczynił ten cymbał Herostrates, aby się dostać do gazet i do czytanek szkolnych.

To wiele.

Autor

TOM PIERWSZY

**SZWEJK
NA TYŁACH**

I

Jak dobry wojak Szwejk wkroczył na widownię wojny światowej

— A to nam zabili Ferdynanda — rzekła posługaczka do pana Szwejka, który opuściwszy przed laty służbę w wojsku, gdy ostatecznie przez lekarską komisję wojskową uznany został za idiotę, utrzymywał się z handlu psami, pokracznymi, nierasowymi kundlami, których rodowody fałszował.

Prócz tego zajęcia dotknięty był reumatyzmem i właśnie nacierał sobie kolana opodeldokiem.

— Którego Ferdynanda, pani Müllerowo? — zapytał Szwejk, nie przestając masować kolan. — Ja znam dwóch Ferdynandów: jeden jest posługaczem u drogisty Pruszy i przez pomyłkę wypił tam razu pewnego jakiegoś smarowanie na porost włosów, a potem znam jeszcze Ferdynanda Kokoszkę, tego, co zbiera psie gówienka. Obu nie ma co żałować.

— Ależ, proszę pana, pana arcyksięcia Ferdynanda, tego z Konopisztu, tego tłustego, pobożnego.

— Jezus Maria! — zawołał Szwejk. — A to dobre! A gdzie też się to się panu arcyksięciu przytrafiło?

— Kropnęli go w Sarajewie, proszę pana, z rewolweru, wie pan. Jechał tam ze swoją arcyksiężną w automobilu.

— Patrzcie państwo, moja pani Müllerowo, w automobilu. Juścić, taki pan może sobie na to pozwolić i nawet nie pomyśli, jak taka jazda automobilem może się skończyć nieszczęśliwie. I jeszcze do tego w Sarajewie, to jest w Bośni, pani Müllerowo. To na pewno zrobili Turcy. Nie trza im było tej Bośni i Hercegowiny zabierać. Tak to, tak, pani Müllerowo. Więc pan arcyksiążę już na sądzie boskim. Długo też się męczył?

— Pan arcyksiążę był od razu trup, proszę pana. Sam pan wie, że z rewolwerem nie ma szpasów. Niedawno temu w naszej dzielnicy w Nuslach też się jeden bawił rewolwerem i powystrzelał całą rodzinę, a nawet stróża, który poszedł zobaczyć, kto też tam strzela na trzecim piętrze.

— Niektóry rewolwer, pani Müllerowo, nie wystrzeli, choćby się człek skręcił. Takich systemów jest dużo. Ale na pana arcyksięcia kupili sobie z pewnością taki z tych lepszych. No i założyłbym się z panią, pani Müllerowo, że ten człowiek, co mu to zrobił, był odświętnie ubrany. Miarkuje pani sama, że strzelanie do arcyksięcia to robota bardzo trudna, to nie to samo, jak kłusownik strzela do gajowego. Tutaj chodzi o to, jak się do niego dostać; na takiego pana nie można się wybierać w jakichś szmatach. Musisz, bratku, iść w cylindrze, żeby cię przedtem nie capnął policjant.

— Podobno więcej ich tam było, proszę pana.

— Ma się wiedzieć, pani Müllerowo — rzekł Szejnk, kończąc nacieranie kolana. — Jakby pani chciała zastrzelić arcyksięcia albo pana cesarza, toby się pani na pewno z kimś naradziła. Co głowa, to rozum. Ten doradzi to, tamten owo i w ten sposób zbożne dzieło się powiedzie, jak o tym śpiewamy w naszym hymnie państwowym. Główna rzecz obliczyć sobie dokładnie, kiedy taki pan będzie przechodził. Tak samo, jak ten pan Luccheni, jeśli pani jeszcze pamięta, co to poszedł z naszą nieboszczką Elżbietą na spacer i przekuł ją pilnikiem. I wierz tu komu! Od tego czasu żadna cesarzowa nie wychodzi na spacer. A to samo czeka jeszcze wiele osób. Zobaczysz pani Müllerowa, że się jeszcze dobiorą i do cara, i do carowej, a nie daj Boże i do naszego

pana cesarza, kiedy tak obcesowo wzięli się do jego stryjaszka. Nasz starszy pan ma sporo nieprzyjaciół. Jeszcze więcej niż ten Ferdynand. Niedawno temu mówił jeden pan w piwiarni, że nastanie taki czas, że cesarze będą padali jeden po drugim i że nawet sam pan prokurator nic im nie poradzi. A potem nie miał czym zapłacić i gospodarz musiał go kazać aresztować. A ten go trzask w pysk, a policjanta dwa razy. Odwieźli go potem w plecionce, żeby wytrzeźwiał. Tak, tak, pani Müllerowo, takie to czasy. Ano dla Austrii znowu strata to niemała. Jakem służył w wojsku, to jeden piechur zastrzelił tam kapitana. Nabił flintę i włożył do kancelarii. Powiedzieli mu tam, żeby sobie poszedł, bo w kancelarii nie jego miejsce, a on wciąż swoje, że musi się rozmówić z panem kapitanem. Kapitan przyszedł i zaraz mu wlepił koszarzniaka. A ten wziął karabin i kropnął go prosto w serce. Kula przeleciała panu kapitanowi przez plecy i jeszcze narobiła szkody w kancelarii. Rozbiła butelkę z atramentem, a ten atrament rozlał się po urzędowych aktach.

— A co się stało z tym żołnierzem? — zapytała po chwili pani Müllerowa, gdy Szwejk się ubierał.

— Powiesił się na szelkach — rzekł Szwejk, czyszcząc melonik. — A te szelki nie były jego własnością. Musiał je sobie pożyczyć od strażnika, że niby to mu opadały spodnie. A co? Miał może czekać, aż go rozstrzelają? Nietrudno zmiarkować, moja pani Müllerowo, że w takich razach człowiekowi się we łbie mąci. Strażnika za to zdegradowali i dali mu sześć miesięcy. Ale nie siedział. Uciekł do Szwajcarii i dzisiaj jest tam ponoć kaznodzieją jakiegoś kościoła. Mało dziś dobrych ludzi, pani Müllerowo. Wyobrażam sobie, że i pan arcyksiążę Ferdynand w mieście Sarajewie też się grubo zawiódł na tym człowieku, co do niego strzelił. Widział jakiegoś pana i pomyślał sobie: „Jakiś porządny człowiek, kiedy wiwatuje na moją cześć”. A tymczasem ten pan trach! do niego. Kropnął go raz czy parę razy?

— W gazetach piszą, proszę pana, że pan arcyksiążę był podziurawiony jak sito. Wystrzelił do niego wszystkie naboje.

— To idzie bardzo szybko, pani Müllerowo, strasznie szybko. Ja bym sobie na coś takiego kupił browning. Wygląda to jak cacko, ale

tym cackiem można przez dwie minuty powystrzelać dwudziestu arcyksiążąt, chudych albo tłustych. Chociaż, między nami mówiąc, pani Müllerowo, do tłustego arcyksięcia trafić daleko łatwiej niż do chudego. Pamięta pani, jak to wtedy w Portugalii ustrzelili sobie tego swego króla? Też był taki tłusty. Wiadomo, że król nie będzie chudeusz. Teraz idę do gospody „Pod Kielichem”, a jakby tu ktoś przyszedł po tego ratterka, com za niego wziął zaliczkę, to trzeba powiedzieć, że mam go w swojej psiarni na prowincji, że mu niedawno przyciąłem uszy i że teraz nie można go przewozić, póki mu się uszy nie zagoją, żeby mu się nie zaziębiły. Klucz pani zostawi u stróżki.

W gospodzie „Pod Kielichem” siedział tylko jeden gość. Był to wywiadowca Bretschneider, będący na służbie policji państwowej. Gospodarz Palivec zmywał podstawki, a Bretschneider daremnie usiłował wyciągnąć go na poważną rozmowę.

Palivec był znany grubianin i co drugie jego słowo było „dupa” albo „gówno”. Ale jednocześnie był czytany i zalecał każdemu, aby sobie przeczytał, co o tym drugim przedmiocie napisał Wiktor Hugo, przytaczając ostatnią odpowiedź napoleońskiej starej gwardii, daną Anglikom w bitwie pod Waterloo.

— Ładne mamy lato — rozpoczął Bretschneider swoją poważną rozmowę.

— Wszystko to gówno warte — odpowiedział Palivec, układając podstawki w kredensie.

— A to nam nawarzyli piwa w tym Sarajewie — ozwał się Bretschneider, tracąc nadzieję.

— W jakim Sarajewie? — zapytał Palivec. — W nuselskiej winiarni? Tam się co dzień za łby wodzą. Wiadomo, przedmieście.

— W bośniackim Sarajewie, panie gospodarzu. Zastrzelili tam pana arcyksięcia Ferdynanda. Co pan na to powie?

— Ja się do takich rzeczy nie mieszam, z tym niech mnie każdy pocałuje w dupę — grzecznie odpowiedział Palivec, zapalając fajkę. — Do takich rzeczy mieszać się nie warto, bo można grubo oberwać. Mam swój handelek, i tyle. Gdy kto przychodzi i każe sobie

podać piwa, to mu podam. Ale jakieś tam Sarajewy, polityka albo nieboszczyk pan arcyksiążę to nie dla nas, bo można się dostać za kraty na Pankrac.

Bretschneider zamilkł i pełen rozczarowania rozglądał się po pustym szynku.

— Tutaj wisiał niegdyś obraz najjaśniejszego pana — ozwał się znów po chwili — akurat tam, gdzie teraz wisi lustro.

— A tak, ma pan rację — odpowiedział Palivec — wisiał tam, ale obsrywały go muchy, więc zaniósłem go na strych. Wiadomo, jak to bywa. Jeszcze by kto zrobił głupią uwagę i miałby człowiek kram. Potrzebne mi to?

— Ale w tym Sarajewie stała się rzecz paskudna, prawda, panie gospodarzu?

Na to pozornie proste, ale podstępne pytanie odpowiedział Palivec niezwykle ostrożnie:

— O tej porze bywa w Bośni i Hercegowinie strasznie gorąco. Jakem tam służył w wojsku, to naszemu oberlejttnantowi musieli na głowę lód przykładać.

— W jakim pułku służył pan, panie gospodarzu?

— Takie głupstwa nie trzymają mi się w głowie. Nigdy się takimi bzdurami nie zajmowałem i nigdy mnie nic takiego nie obchodziło — odpowiedział Palivec. — Ciekawość pierwszy stopień do piekła.

Wywiadowca Bretschneider zamilkł ostatecznie, a jego ponura twarz pojaśniała dopiero wówczas, gdy do gospody wszedł Szwejk, który kazał sobie podać ciemne piwo, dodając znacząco:

— Bo w Wiedniu też dziś mają żałobę.

W oczach Bretschneidera błysnęła nadzieja. Dorzucił rzeczowo:

— Na zamku w Konopiszcie jest dziesięć czarnych chorągwi.

— A powinno być dwanaście — rzekł Szwejk popiwszy piwa.

— Dlaczego sądzi pan, że dwanaście? — zapytał Bretschneider.

— Żeby był równy rachunek, akurat tuzin. Łatwiej to zliczyć, no i na tuziny wszystko jest tańsze — odpowiedział Szwejk.

Zapanowała cisza, którą Szwejk przerwał westchnieniem:

— Więc już biedak ziemię gryzie, Panie, świeć nad jego duszą! Nie doczekał się nawet cesarzowania. Jak byłem w wojsku, to jeden generał spadł z konia i zabił się na dobre. Chcieli go podnieść i wsadzić na konia, a tu patrzą, zupełnie martwy. A też miał dostać awans na feldmarszałka. Stało się to przy przeglądzie wojska. Wszystkie te przeglądy nigdy nie wychodziły na dobre. W Sarajewie też był jakiś przegląd. Pamiętam, że pewnego razu brakowało mi przy takim przeglądzie dwadzieścia guzików przy mundurze i że mnie za to wsadzili na dwa tygodnie do pojedynki, a przez dwa dni leżałem jak ten łazarz w kij związany. Ale w wojsku dyscyplina musi być, bo inaczej nikt by sobie z niczego nic nie robił. Nasz oberlejtnant Makovec mawiał nam nieraz: „Dyscyplina musi być, wy łby zakute, bo bez niej to byście łazili po drzewach jak te małpy, ale wojsko robi z was ludzi, wy trąby powietrzne!”. A czy nie miał racji? Przedstawmy sobie park na przykład na placu Karola, a na każdym drzewie taki żołnierz bez dyscypliny. Tego się zawsze najbardziej obawiałem.

— W Sarajewie w całej tej sprawie maczali palce Serbowie — nawiązywał pan Bretschneider.

— Myli się pan — odpowiedział Szwejk. — To zrobili Turcy przez tę Bośnię i Hercegowinę.

I Szwejk rozwinął swoje poglądy na międzynarodową politykę Austrii na Bałkanach: Turcy przegrali wojnę w roku 1912 z Serbią, Bułgarią i Grecją. Chcieli, żeby ich Austria poratowała, a gdy Austria nie chciała, zastrzelili Ferdynanda.

— Lubisz Turków? — zwrócił się Szwejk do gospodarza Palivca. — Lubisz tych psów pogańskich? Prawda, że nie lubisz?

— Każdy gość jest dobry — odpowiedział Palivec — niech sobie będzie i Turek. Dla nas, kupców, polityka nie ma znaczenia. Zapłać za piwo, siedź sobie w knajpie i wygaduj, co ci ślina na język przyniesie. To moja zasada. Czy to zrobił temu naszemu Ferdynandowi Serb czy Turek, katolik czy mahometanin, anarchista czy Młodoczech, mnie wszystko jedno.

— Dobrze, panie gospodarzu — ozwał się Bretschneider, który znowu stracił nadzieję, czy uda się przyłapać jednego z tych dwóch na jakimś słowie — ale zgadza się pan chyba, że to wielka strata dla Austrii.

Zamiast gospodarza odpowiedział Szwejk:

— Strata bo strata, przeczyć temu nie można. Okropna strata. Ferdynanda nie może zastąpić pierwszy lepszy cymbał. Tylko szkoda, że nie był jeszcze tłusciejszy.

— Niby dlaczego? — ożywił się Bretschneider.

— Niby dlaczego? — odpowiedział spokojnie Szwejk. — Niby dlatego, że jakby był jeszcze tłusciejszy, to byłby go trafił szlag już dawniej, kiedy w Konopiszcie gonił babiny zbierające w jego lesie chrust i grzyby, i nie potrzebowałyby umierać taką nieprzystojną śmiercią. W głowie się człowiekowi nie mieści: stryjaszek najjaśniejszego pana, a siaki taki go zastrzelił. Przecież to wstyd, bo w gazetach o tym pełno. U nas w Budziejowicach przed paru laty w czasie jednej małej sprzeczki na targu bydłowym przebili niejakiego Brzeczisława Ludvika, handlarza bydła. Ten kupiec miał syna Bogusława i gdziekolwiek ten syn przyszedł ze świniami na sprzedaż, nikt od niego nie chciał nic kupić, a każdy mawiał: „To syn tego przebitego, to musi być też łotr niezgorszy”. Musiał w Krumlovie skoczyć z mostu do Wełtawy, musieli go wyciągać, musieli go cucić, musieli z niego wodę pompować, a on im musiał umrzeć w objęciach lekarza akurat wtedy, gdy ten mu coś zastrzykiwał pod skórę.

— Skąd pan bierze takie dziwne porównania? — rzekł Bretschneider z naciskiem. — Mówi pan najpierw o Ferdynandzie, a potem o handlarzu bydła.

— Znikąd nie biorę żadnych porównań — bronił się Szwejk. — Niech mnie Bóg broni, żebym ja miał kogoś do kogoś porównywać! Pan gospodarz mnie zna. No, powiedz sam, że nigdy nikogo do nikogo nie przyrównywałem. Tylko że nie chciałem być w skórze tej wdowy po arcyksięciu. Co ona teraz robi? Dzieci sieroty, dobra na Konopiszcie bez pana. A wydawać się znowu za jakiego nowego arcyksięcia?...

Co by z tego miała? Pojechałaby z nim znowu do Sarajewa i zostałaby wdową po raz drugi. We Zliviu koło Hlubokiej był przed laty gajowy, a miał takie obrzydliwe nazwisko Kurdupel. Kłusownicy go zastrzelili, a została po nim wdowa z dwojgiem dzieci i po roku wyszła znowu za gajowego Pepika Szevtoviaka z Mydlovarów. I tego zastrzelili także. Wyszła za mąż po raz trzeci i znowu za gajowego, mówiąc sobie: „Do trzech razy sztuka. Jeśli i to się nie uda, to już nie wiem, co zrobić”. Rzecz prosta, że i tego zastrzelili, a ona tymczasem miała z tymi gajowymi już sześcioro dzieci. Była nawet w kancelarii księcia pana w Hlubokiej i skarżyła się na swoje utrapienie z tymi gajowymi. Więc jej nastręczyli dozorcę stawów, Jaresza, spod Ražickéj Baszty. I powiedzcie państwo: utopili jej chłopą przy połowie ryb, a miała z nim dwoje dzieci! Potem wydała się za trzebiciela nierogaczyny z Vodnian, a ten pewnej nocy trzepnął ją siekierą i dobrowolnie poszedł się oskarżyć. Gdy go potem z wyroku sądu okręgowego w Pisku wieszali, ugryzł księdza w nos, powiedział, że niczego nie żałuje, a do tego powiedział jeszcze coś bardzo brzydkiego o najjaśniejszym panu.

— A nie wie pan czasem, co takiego powiedział? — zapytał Bretschneider głosem pełnym nadziei.

— Tego powiedzieć panu nie mogę, bo nikt się tego nie odważy powtórzyć. Ale było to podobno coś tak okropnego, że pewien radca sądowy, który był przy tym, oszalał od tego i jeszcze dzisiaj trzymany jest w izolacji, żeby się nie wydało. Nie była to zwyczajna obraza najjaśniejszego pana, jakiej się ludzie dopuszczają po pijanemu.

— A jakiej obrazy najjaśniejszego pana dopuszczają się ludzie po pijanemu? — zapytał Bretschneider.

— Proszę was, panowie, mówcie o innych sprawach — ozwał się Palivec. — Wiecie dobrze, że takich rzeczy nie lubię. Słowno z pyska wyleci, a potem bieda.

— Jakiej obrazy najjaśniejszego pana dopuszczają się ludzie po pijanemu? — powtórzył Szwejk. — Rozmaicie bywa. Upij się pan, każ sobie zagrać austriacki hymn, a zobaczysz, co będziesz mówił. Wy-myśli pan sobie tyle różnych rzeczy o panu cesarzu, że gdyby choć

połowa z tego była prawdą, to miałby biedak wstydu na całe życie. Ale ten starszy pan naprawdę nie zasługuje na takie traktowanie. Weź pan na przykład taką rzecz. Syna Rudolfa stracił w młodocianym wieku, w pełnej sile męskiej. Małżonkę Elżbietę mu przebili pilnikiem, potem zginął mu Jan Orth, brata jego, cesarza meksykańskiego, zastrzelili w jakiejś twierdzy przy jakimś murze, a teraz na stare lata zastrzelili mu stryjaszka. I raptem schla się jakiś pijanica i zacznie na niego wygadywać. Przecież takie rzeczy działają na nerwy. Gdyby się dzisiaj miało coś zdarzyć, to z dobrej woli pójde i będę służył panu cesarzowi do ostatka sił.

Szwejk napił się dokumentnie i ciągnął dalej:

— Myślisz pan może, że najjaśniejszy pan puści to płazem? Nie znasz go pan w takim razie. Wojna z Turkami musi być. Zabiliście mi stryjaszka, to ja was też przez pysk podzielę. Wojna jest pewna. Serbia i Rosja dopomogą nam w tej wojnie. Ej, będzie rzeź, aż miło!

W tym proroczym natchnieniu Szwejk był piękny. Jego dobroduszną twarz, uśmiechniętą jak księżyc w pełni, promieniała zapalem. Wszystko wydawało mu się bardzo jasne.

— Może się zdarzyć — wywodził dalej, mówiąc o przyszłości Austrii — że w razie wojny z Turcją napadną na nas Niemcy, bo Niemcy i Turcy trzymają z sobą. To takie dranie, że drugich takich nie ma na świecie. Ale możemy się sprzymierzyć z Francją, która od roku siedemdziesiątego pierwszego krzywo patrzy na Niemca. I damy sobie radę. Wojna będzie, więcej nie powiem.

Bretschneider wstał i rzekł uroczyście:

— Więcej pan mówić nie potrzebuje. Niech pan wyjdzie ze mną do sieni, to panu coś powiem.

Szwejk wyszedł za wywiadowcą do sieni, gdzie go oczekiwała mała niespodzianka, gdy jego kompan od stolika pokazał mu orzełka i rzekł, że go aresztuje i że natychmiast zaprowadzi go do dyrekcji policji. Szwejk starał się wytłumaczyć i wywodził, że ten pan się zapewne myli, bo on jest całkiem niewinny, jako że nie wymówił ani jednego słowa, które mogłoby kogokolwiek obrazić.

Bretschneider oświadczył jednak, iż Szwejk faktycznie dopuścił się kilku czynów karalnych, pośród których pewną rolę gra także zbrodnia zdrady stanu.

Potem powrócili do gospody i Szwejk rzekł do Palivca:

— Mam pięć piw i jeden rogalik z parówkami. Teraz daj mi jeszcze jedną śliwovicę, bo już muszę iść, jako że jestem aresztowany.

Bretschneider pokazał Palivcowi orzełka, przez chwilę spoglądał na niego, a potem zapytał:

— Czy pan żonaty?

— Żonaty.

— A czy pańska małżonka może prowadzić interes w czasie pańskiej nieobecności?

— Może.

— A więc wszystko w porządku, panie gospodarzu — wesoło rzekł Bretschneider. — Zawoła pan swą żonę, przekaże jej wszystko, a wieczorem przyjdziemy po pana.

— Nie przejmuj się tym — pocieszał go Szwejk. — Mnie zabierają tylko z powodu zdrady stanu.

— Ale za co mnie? — biadał Palivec. — Ja byłem taki ostrożny!

Bretschneider uśmiechnął się i rzekł zwycięsko:

— Za to, że pan powiedział, że muchy srały na najjaśniejszego pana. Już tam panu najjaśniejszego pana z głowy wybiją.

Szwejk opuścił gospodę „Pod Kielichem” w towarzystwie wywiadowcy; gdy wyszli na ulicę, zapytał go, nie przestając spoglądać z dobrotliwym uśmiechem na jego twarz:

— Czy każe mi pan zejść z trotuaru?

— Dlaczego?

— Sądzę, że jako aresztowany nie mam prawa chodzić po trotuarze. Kiedy wchodzili do bramy dyrekcji policji, rzekł Szwejk:

— Tak mile zleciał nam czas. Czy często bywa pan „Pod Kielichem”?

Podczas gdy Szwejka prowadzono do kancelarii, w której przyjmowano aresztantów, Palivec przekazywał gospodę „Pod Kielichem” swojej płaczącej żonie, pocieszając ją na swój sposób:

— Nie płacz, nie rycz, co mi mogą zrobić za zasrany obraz najjaśniejszego pana?

W taki to sposób dobry wojak Szwejk wkroczył na widownię wojny światowej, po swojemu mile i ujmująco. Historyków zainteresuje niezawodnie to, iż przewidywał daleką przyszłość. Jeśli sytuacja rozwinęła się potem nieco inaczej, niż on malował ją „Pod Kielichem”, musimy wziąć pod uwagę fakt, że brak mu było gruntownego wykształcenia dyplomatycznego.

II

Dobry wojak Szwejk w dyrekcji policji

Zamach w Sarajewie zapełnił dyrekcję policji licznymi ofiarami. Przyprowadzali tu jednego po drugim, a stary inspektor w kancelarii powtarzał głosem dobrodusznego człowieka:

— Źle wyjdziecie na tym Ferdynandzie.

Gdy Szwejka zamknięto w jednej z licznych cel na pierwszym piętrze, znalazł tam towarzystwo sześciorga osób. Pięciu aresztantów siedziało przy stole, a w rogu na pryczy, jakby stroniąc od reszty, siedział mężczyzna w średnim wieku. Szwejk zaczął rozpytywać jednego po drugim, za co zostali aresztowani.

Od tych pięciu, którzy siedzieli przy stole, otrzymał niejako jedno-brzmiającą odpowiedź:

— Za Sarajewo!

— Za Ferdynanda!

— Za zamordowanie pana arcyksięcia!

— Przez Ferdynanda!

— Za to, że pana arcyksięcia zastrzelili w Sarajewie!

Szósty, który stronił od tych pięciu, rzekł, że nie chce mieć z nimi nic wspólnego, żeby na niego nie padło jakieś podejrzenie, bo on zo-

stał aresztowany jedynie za usiłowanie popełnienia morderstwa rabunkowego na pewnym gospodarzu z Holic.

Szwejk przyłączył się do towarzystwa spiskowców siedzących przy stole, którzy już po raz dziesiąty opowiadali sobie, w jaki sposób się tutaj dostali.

Wszyscy oprócz jednego zostali aresztowani bądź w gospodzie, bądź w winiarni albo w kawiarni. Wyjątkiem był niezwykle otyły pan w okularach, z oczyma zapłakanymi, którego aresztowano we własnym mieszkaniu; ten na dwa dni przez zamachem w Sarajewie w gospodzie „U Brejszki” płacił za dwóch serbskich studentów politechniki, a prócz tego widziano go pijanego w ich towarzystwie, w „Montmartrze” przy ulicy Łańcuchowej, gdzie jak to potwierdził w protokole własnym podpisem, także za nich płacił. Widział go tam wywiadowca Brixi.

Na wszystkie pytania podczas śledztwa wstępne kwilił stereotypowo:

— Ja mam handel papierem.

Na co otrzymywał podobnie stereotypową odpowiedź:

— To pana nie tłumaczy.

Pan małego wzrostu, którego spotkała ta przygoda w winiarni, był profesorem historii i wykładał właścicielowi winiarni dzieje różnych zamachów. Aresztowany został w chwili, kiedy kończył psychologiczną analizę zjawiska tymi słowy:

— Idea zamachu jest tak prosta jak jajko Kolumba.

— I taka jasna jak to, że pan się dostanie na Pankrac — uzupełnił jego zdanie komisarz policji przy badaniu.

Trzeci spiskowiec był prezesem dobroczynnego stowarzyszenia „Dobromil” w Hodkoviczkach. Tego dnia, w którym dokonano zamachu, „Dobromil” urządzał zabawę ogrodową połączoną z koncertem. Wachmistrz żandarmerii przybył do ogrodu i wezwał uczestników, żeby się rozeszli, bo Austria ma żałobę, na co prezes „Dobromila” odpowiedział dobroduszenie:

— Zaczekaj pan chwileczkę, niech dograją *Hej, Słowianie*.

Teraz siedział w areszcie z głową spuszczoną i narzekał:

— W sierpniu mamy nowe wybory zarządu. Jeśli do tego czasu nie będę w domu, to się może zdarzyć, że mnie nie wybiorą. Już po raz dziesiąty jestem prezesem. Ja tego wstydu nie przeżyję.

W osobliwy sposób poigrał sobie nieboszczyk Ferdynand z czwartym aresztantem, mężem czystego charakteru i nienagannej przeszłości. Przez całe dwa dni uchylał się on od jakiegokolwiek rozmowy o Ferdynandzie, aż wieczorem w kawiarni przy mariaszu, zabijając żołądnego króla atutową siódmką dzwonkową, rzekł:

— Siedem dzwonek jak siedem kul w Sarajewie.

Piąty z aresztowanych, jak się sam wyraził, siedział za morderstwo popełnione na arcyksięciu w Sarajewie; jeszcze teraz miał włosy i wąsy zjeżone z przerażenia, tak że głowa jego przypominała pinczera.

W restauracji, w której go aresztowano, nie odezwał się ani słowem, ba, nawet nie czytał gazet o zabiciu Ferdynanda i siedział przy stole zupełnie sam, gdy wtem podszedł do niego jakiś pan, usiadł naprzeciw i rzekł z pośpiechem:

— Czytał pan o tym?

— Nie czytałem.

— Wie pan o tym?

— Nie wiem.

— A wie pan, o co chodzi?

— Nie wiem, bo mnie to nie interesuje.

— A jednak powinno to pana interesować.

— Nie wiem, co by mnie miało interesować. Wypalę cygaro, wypiję parę kufli, zjem kolację i dość. Gazet nie czytam. Gazety kłamią. Po co się denerwować?

— Więc pana nie interesuje nawet to morderstwo w Sarajewie?

— Mnie w ogóle żadne morderstwo nie interesuje, czy w Pradze, czy w Wiedniu, czy w Sarajewie, czy w Londynie. Od tego są urzędy, sądy i policja. Jeśli gdzieś kiedyś kogo zabiją, to dobrze mu tak, po co jest bałwan i taki nieostrożny, że się da zabić?

Były to jego ostatnie słowa w tej rozmowie. Od tej chwili powtarzał głośno w pięciominutowych pauzach te słowa:

— Ja jestem niewinny. Ja jestem niewinny.

Słowa te wykrzykiwał i w bramie dyrekcji policji, słowa te będzie powtarzał i przy przewożeniu go do sądu karnego w Pradze i z tymi słowy wkroczy do swej celi więziennej.

Gdy Szwejk wysłuchiwał wszystkich tych straszliwych opowieści spiskowych, uznał za właściwe pouczyć spiskowców o całkowitej beznadziejności ich sytuacji.

— Oj, źle z nami wszystkimi — zaczął swoje słowa pociechy. — Nie jest to prawda, jak mówicie, że wam czy nam wszystkim nie może stać się nic złego. Od czego mamy policję, jak nie od tego, żeby nas karała za nasze gadulstwo? Jeśli nastąpiły takie niebezpieczne czasy, że strzelają do arcyksiążąt, to nikt nie powinien się dziwić, że go przyprowadzą do dyrekcji policji. To wszystko robi się dla pompy, żeby Ferdynand miał reklamę przed swoim pogrzebem. Im więcej nas tu będzie, tym lepiej dla nas, bo nam będzie weselej. Kiedym służył w wojsku, to nieraz pół kompanii siedziało w pace. A ilu to niewinnych ludzi zostało skazanych! I nie tylko w wojsku, ale i przez inne sądy. Pamiętam, że raz jedna kobieta została skazana za to, że udusiła swoje nowo narodzone bliźnięta. Chociaż przysięgała, że nie mogła udusić bliźniąt, bo urodziła się jej tylko jedna dziewczynka, którą udało się udusić całkiem bez bólu, to jednak skazana została za podwójne morderstwo. Albo na przykład ten niewinny Cygan w Zabiehlcach, co się włamał do sklepu w noc Bożego Narodzenia. Przysięgał, że chciał się tylko ogrzać, i nic mu to nie pomogło. Jak tylko sąd weźmie coś w swoje ręce, to już kłapa. Widocznie tak już musi być. Być może, że wszyscy ludzie nie są takimi draniami, jak o nich należy przypuszczać, ale w jaki sposób odróżnisz dzisiaj człowieka dobrego od gałgana, osobliwie teraz, w takich poważnych czasach, gdy zakatrupili tego Ferdynanda? Tam u nas, kiedym służył w wojsku w Budziejowicach, zastrzelili w lesie za placem ćwiczeń psa pana kapitana. Kiedy się o tym kapitan dowiedział, zwołał nas wszystkich, kazał nam stanąć w szeregu i powiada,

żeby co dziesiąty wystąpił. Rzecz prosta, że i ja byłem dziesiąty, i tak staliśmy *habacht*¹, nawet nie mrugnawszy. Kapitan chodzi sobie koło nas i powiada: „Wy psubraty, podleczy, świntuchy, hieny cętkowane, tak bym wam z przyjemnością wlepił pojedynek za tego psa, posiekałbym was na makaron, porozstrzeliwał i zrobił karpia na niebiesko. Żebyście wiedzieli, że się z wami nie będę bawił, daję wam wszystkim dwa tygodnie koszarniaka”. Widzicie, panowie, wtedy chodziło tylko o pieska, a teraz chodzi przecież o pana arcyksięcia. I dlatego trzeba wszystkim napędzić strachu, żeby żałoba była jak się patrzy.

— Ja jestem niewinny. Ja jestem niewinny — powtarzał człowiek o zjeżonych włosach.

— Chrystus Pan też był niewinny — rzekł Szwejk — i też go ukrzyżowali. Nigdy nikomu nie zależało na jakimś tam niewinnym człowieku. „*Maul halten und weiter dienen!*”² — jak nam mawiali w wojsku. To najlepsze i najpiękniejsze.

Szwejk wyciągnął się na pryczy i usnął snem sprawiedliwego.

Tymczasem przybyło dwóch nowych aresztantów. Jeden z nich był Bośniakiem. Chodził po celi, zgrzytał zębami i co drugie jego słowo brzmiało: „*Jebem ti duszu*”. Męczyła go myśl, że w dyrekcji policji zginie mu jego koszyk.

Drugim gościem był Palivec, właściciel gospody, który zauważywszy swego znajomego, Szwejka, zbudził go i głosem pełnym tragizmu zawołał:

— A więc i ja tu jestem!

Szwejk uściśnął mu serdecznie rękę i rzekł:

— Cieszę się szczerze. Wiedziałem, że ten pan dotrzyma słowa, gdy zapewniał, że wieczorem po pana przyjdą. Taka punktualność to dobra rzecz.

Palivec zauważył wszakże, że taka punktualność gówno warta, i po cichu spytał Szwejka, czy ci inni aresztanci nie są aby złodziejaskami, bo to mogłoby mu zaszkodzić jako właścicielowi gospody.

¹ *habacht* (niem.) – na baczność.

² *Maul halten und weiter dienen!* (niem.) – Stulić pysk i dalej pełnić służbę.

Szwejk objaśnił go, że wszyscy oprócz jednego pana, który dostał się tu za usiłowanie popełnienia morderstwa rabunkowego na osobie gospodarza z Holic, należą do ich towarzystwa i siedzą przez pana arcyksięcia.

Palivec obraził się i rzekł, że nie został aresztowany dla jakiegoś głupiego arcyksięcia, ale z powodu samego najjaśniejszego pana. Ponieważ reszta towarzystwa zaczęła się tym interesować, opowiedział, jak to muchy zanieczyściły mu obraz cesarza.

— Zapaskudziły mi go, bestie — kończył opowiadanie swej przygody — a mnie zaprowadziły do kryminału. Ale ja tego tym muchom nie daruję — odgrażał się.

Szwejk udał się znowu na spoczynek, ale nie spał długo, bo przyszli po niego, aby go zaprowadzić na śledztwo.

Idąc schodami na przesłuchanie do trzeciego wydziału, Szwejk dźwigał swój krzyż na szczyt Golgoty, nie zdając sobie sprawy z własnego męczeństwa.

Zauważywszy napis, że pluć na korytarzach nie wolno, poprosił strażnika, aby mu pozwolił splunąć do spluwaczki, i promieniejąc wielkością swojej prostoty, wkroczył do kancelarii ze słowami:

— Dobry wieczór szanownym panom, wszystkim razem.

Zamiast odpowiedzi ktoś szturchnął go pod żebro i popchnął do stołu, za którym siedział pan o wyniosłym i urzędowym obliczu, o rysach twarzy pełnych zwierzęcego okrucieństwa, jakby właśnie wypadł z książki Lombrosa *Zbrodniarz urodzony*.

Krwiożerczo spojrzał na Szwejka i rzekł:

— Nie udawaj pan takiego idioty.

— Bardzo mi przykro — odpowiedział Szwejk z wielką powagą — ale w wojsku byłem poddany superarbitracji z powodu idiotyzmu i urzędowo zostałem przez nadzwyczajną komisję lekarską uznany za idiotę. Ja jestem idiota z urzędu.

Pan o zbrodniczym wyglądzie zazgrzytał zębami.

— To, o co jesteś pan oskarżony i czegoś się pan dopuścił, świadczy, że masz wszystkie klepki w porządku.

I wymienił Szwejkowi długi szereg różnych zbrodni, poczynając od zdrady stanu, a kończąc na obrazie jego cesarskiej mości i członków domu cesarskiego. Pośród tych przestępstw wyróżniała się pochwała morderstwa arcyksięcia Ferdynanda, stąd zaś wywodziła się nowa gałąź przestępstw, wśród których najpełniej jaśniała zbrodnia podburzania do nieposłuszeństwa władzom, ponieważ wszystko to stało się w lokalu publicznym.

— Co pan na to? — zwycięsko zapytał pan o rysach znamionujących wielkie okrucieństwo.

— Ano, sporo się tego nazbierało — odpowiedział naiwnie Szwejk. — Co za dużo, to niezdrowo.

— No, widzi pan, sam się pan przyznaje.

— Ja się przyznaję do wszystkiego, proszę pana, dyscyplina musi być, bez dyscypliny ładnie byśmy wyglądali. Jeszcze kiedyś służyłem w wojsku...

— Stul pan gębę! — wrzasnął radca policji na Szwejka. — I mów pan tylko to, o co się pytam. Rozumie pan?

— Jakżebym nie miał rozumieć? — rzekł Szwejk. — Posłusznie melduję, że rozumiem i że we wszystkim, co pan raczy do mnie mówić, potrafię się orientować.

— Z kim pan utrzymuje stosunki?

— Ze swoją posługaczką, proszę pana.

— A w miejscowych kołach politycznych nie ma pan znajomych?

— Mam, proszę pana, kupuję sobie południowe wydanie gazety „Narodni Politika”, tej, jak się to mówi, suki...

— Precz! — wrzasnął na Szwejka pan o zwierzęcym wyrazie twarzy. Gdy Szwejka wprowadzano z kancelarii, rzekł:

— Dobrej nocy, wielmożny panie.

Powróciwszy do izby aresztanckiej oznajmił Szwejk obecnym, że takie przesłuchiwanie to niegorsza frajda.

— Trochę tam pokrzyczą, a w końcu czleka wypędzą. Dawniej — wywodził — bywało gorzej. Czytałem kiedyś taką książkę, że oskarżeni musieli chodzić po rozpalonym żelazie i pić roztopiony ołów, żeby

się pokazało, kto jest niewinny. Albo wtykali takiemu nogi w buty hiszpańskie i rozciągali go na drabinie, jeśli nie chciał się przyznać, albo też przypalali mu boki strażackimi pochodniami, jak to robili na przykład świętemu Janowi z Nepomuka. Podobno ryczał przy tym, jakby go ze skóry łupili, i nie zamilkł, dopóki nie zrzucili go z mostu Eliszki do Wełtawy, i to w worku nieprzemakalnym. Takich wypadków było więcej, a jeszcze na dobitkę człowieka ćwiartowali albo wbijali go na pal gdziesik tam koło muzeum. A jeśli wtrącili tylko takiego do wieży na śmierć głodową, to czuł się z uciechy jak nowo narodzony. Dzisiaj to jedna wielka frajda dostać się do kryminału — pochwalał Szwejk nowe czasy — nie ma ćwiartowania, nie ma hiszpańskich butów. Prycze mamy, stół mamy, ławki mamy, nie potrzebujemy pchać się jeden na drugiego, zupełne dostajemy, chleb też nam dają, dzban wody przyniosą, wychodek mamy pod nosem. We wszystkim widać postęp. Prawda, że na śledztwo trochę niby daleko, bo aż przez trzy korytarze i o piętro wyżej, ale za to na korytarzach jest czysto i jaki ruch! Tu prowadzą jednego, tam drugiego, młodego, starego, płci męskiej, płci żeńskiej. Człek się cieszy już i z tego, że nie siedzi tu sam. Każdy idzie spokojnie swoją drogą i nie potrzebuje się obawiać, że mu w kancelarii powiedzą: „Więc naradziliśmy się i jutro zostanie pan poćwiartowany albo spalony na stosie, wedle swego własnego wyboru”. Rozmyślanie o takich rzeczach byłoby z pewnością nielekkie, a ja sądzę, panowie, że niejeden z nas byłby w takim momencie całkiem zdetonowany. No, dzisiaj stosunki zmieniły się już na naszą korzyść.

Właśnie kończył apologię współczesnego więzienia, gdy dozorca otworzył drzwi i zawołał:

— Szwejk, ubrać się i dalej na śledztwo!

— Ja się ubiorę — odpowiedział Szwejk — przeciwko temu nie mam nic do powiedzenia, ale boję się, że to pewno pomyłka, bo już raz zostałem ze śledztwa wyrzucony. I jeszcze się boję, aby reszta tych panów, co tutaj są razem ze mną, nie pogniewała się na mnie, że ja chodzę dwa razy z kolei na śledztwo, a oni nie byli tam dzisiejszego wieczora jeszcze ani razu. Może to wzbudzić zawiść.

— Wyłazić i nie głądzić! — brzmiała odpowiedź na dżentelmeński wywód Szwejka.

Szwejk znalazł się znowu przed panem o zbrodniczym wyglądzie, który bez jakiegokolwiek wstępu zapytał go twardo i nieubłaganie:

— Przyznaje się pan do wszystkiego?

Szwejk zwrócił na nieubłaganego człowieka swoje dobre modre oczy i rzekł miękko:

— Jeśli pan sobie życzy, proszę pana, abym się przyznał, to się przyznaję, bo mnie to nic nie szkodzi. Ale gdyby pan powiedział: „Szwejku, nie przyznawajcie się do niczego” — to się będę wykręcał ze wszystkich sił.

Surowy pan pisał coś w aktach i podawszy Szwejkowi pióro kazał mu się podpisać.

I Szwejk podpisał oskarżenie Bretschneidera wraz z dodatkiem:

„Wszystkie wyżej wymienione oskarżenia przeciwko mnie opierają się na prawdzie.

Józef Szwejk”

Podpisawszy, zwrócił się do surowego pana:

— Czy każe mi pan jeszcze coś podpisać? Czy może mam przyjść dopiero jutro rano?

— Z rana zostanie pan wywieziony do sądu karnego — usłyszał w odpowiedzi.

— O której godzinie, proszę pana? Żebym przecie, broń mnie Boże, nie zasnął!

— Precz! — zagrzmiało na Szwejka dzisiaj po raz drugi to słowo zza stołu, przy którym stał.

Powracając do swego nowego zakratowanego mieszkania, Szwejk rzekł do dozorczy, który go przyprowadził:

— Wszystko tu jest akuratne jak w zegarku.

Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, współwięźniowie zasypali go mnóstwem pytań, na które Szwejk odpowiadał jasno:

— Dopiero co się przyznałem, że zabiłem arcyksięcia Ferdynanda. Sześcioro ludzi skuliło się w przestachu pod zawszonymi kocami, tylko Bośniak rzekł:

— *Dobrodošli*¹.

Układając się na pryczy, mówił Szwejk:

— Głupia sprawa, że nie mamy tutaj budzika.

Ale rano zbudzili go bez budzika i punktualnie o szóstej wywiózł Szwejka „zielony Anton” do krajowego sądu karnego.

— Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje — rzekł Szwejk do swoich towarzyszy podróży, gdy „zielony Anton” wyjeżdżał z bramy dykcji policji.

¹ *Dobrodošli* (serb.) – Witamy.

III

Szwejk przed lekarzami sądowymi

Czyste, przytulne pokoiki krajowego sądu karnego wywarły na Szwejku jak najlepsze wrażenie. Wybielone ściany, czarno malowane kraty i otyły pan Demartini, starszy dozorca aresztu śledczego, z fioletowymi lampasami i wypustkami na urzędowej czapce, wszystko mu się podobało. Barwa fioletowa przepisana jest nie tylko tutaj, lecz i przy obrzędach kościelnych w środę popielcową i w Wielki Piątek.

Powtarza się przesławna historia rzymskiego panowania nad Jerozolimą. Więźniów wyprowadzano i przedstawiano ich piłatom z roku tysiąc dziewięćset czternastego, rezydującym na parterze. A sędziowie śledczy, nowocześni pilaci, zamiast rzetelnie umyć ręce, posyłali sobie po paprykarz i piwo pilzneńskie do Teissiga, dostarczając coraz nowych oskarżeń prokuraturze.

Tutaj w większości wypadków znikła wszelka logika, a zwyciężał \$, dusił \$, bałwanil \$, paraskał \$, śmiał się \$, groził \$, zabijał \$ i nie przepuszczał nikomu. Byli to żonglerzy praw, kapłani liter kodeksowych, pożeracze oskarżonych, tygrysy austriackiej dżungli, wymierzający skok na oskarżonego podług numerów paragrafów.

Wyjątek stanowiło kilku panów (tak samo jak i w dyrekcji policji), którzy kodeksem nie przejmowali się nadmiernie, bowiem wszędzie znajdzie się ziarno pszenicy wśród kąkolu.

Do jednego z takich panów przyprowadzono Szwejkę na śledztwo. Starszy pan o wyglądzie dobrodusznym, ten sam, który niegdyś, badając znanego mordercę Valesza, nie zapominał nigdy rzecz do niego: „Raczy pan usiąść, panie Valesz, akurat mamy tu wolne krzeselko”.

Gdy Szwejkę przyprowadzono do niego, pan ten poprosił go z wrodzoną sobie uprzejmością, aby usiadł, i rzekł:

— A więc to pan jest ten Szwejk?

— Przypuszczam — odpowiedział Szwejk — że muszę nim być, bo mój ojciec był Szwejk, a matka pani Szwejkowa. Nie mogę zrobić im takiego wstydu, żebym się miał wypierać swego nazwiska.

Życzliwy uśmiech przeleciał po twarzy radcy sądowego prowadzącego dochodzenie.

— Nawarzył pan sobie ładnego piwa. Dużo sprawek ma pan na sumieniu.

— Ja mam zawsze dużo na sumieniu — rzekł Szwejk, uśmiechając się jeszcze uprzejmiej niż pan radca sądu. — Może nawet mam na sumieniu więcej, niż raczy mieć pan, wielmożny panie.

— Widać to i w protokole, który pan podpisał — niemniej uprzejmym tonem rzekł radca sądu. — Czy nie wywierali na pana jakiego nacisku w dyrekcji policji?

— Broń Boże, wielmożny panie. Ja sam się ich pytałem, czy mam podpisać, a gdy powiedzieli, żebym podpisał, to usłuchałem. Przecież nie będę się z nimi wodził za łby dla własnego podpisu. Na dobre by mi taka rzecz nie wyszła. Porządek musi być.

— A czy pan się czuje zupełnie zdrowy, panie Szwejk?

— Zupełnie zdrowy to ja nie jestem, wielmożny panie radco. Mam reumatyzm, smaruję się opodeldokiem.

Starszy pan znowu uśmiechnął się uprzejmie.

— Co by pan powiedział na to, gdybyśmy pana polecili zbadać przez lekarzy sądowych?

— Ja sądzę, że nie jest tak źle, żeby ci panowie mieli na próżno tracić dla mnie czas. Mnie już badał jeden doktor w dyrekcji policji, czy nie mam trypra.

— Wie pan co, panie Szwejk, my jednak zrobimy próbę z tymi lekarzami sądowymi. Złożymy ładną komisyjkę, przekazemy pana do aresztu śledczego, a tymczasem pan sobie dobrze odpocznie. Na razie jedno pytanie: podług protokołu miał pan się wyrażać i rozgłaszać, że teraz niedługo wybuchnie wojna.

— Proszę pana radcy, wojna wybuchnie w krótkim czasie.

— A czy nie miewa pan czasem jakich napadów?

— Napadów, proszę pana, nie mam, tylko raz byłbym o mały figiel wpadł pod samochód na placu Karola. Ale to już ładnych parę lat temu.

Na tym przesłuchanie zostało zakończone. Szwejk podał panu radcy sądu rękę, a po powrocie do swego pokoiku rzekł sąsiadom:

— No więc przez to zamordowanie pana arcyksięcia Ferdynanda będą mnie badali lekarze sądowi.

— Ja też już byłem badany przez lekarzy sądowych — rzekł pewien młody człowiek. — Było to wtedy, kiedy się z powodu dywanów dostał przed sąd przysięgłych. Uznali mnie za słabego na umyśle. Teraz przywłaszczyłem sobie parową młockarnię i nic mi nie mogą już zrobić. Wczoraj powiedział mi mój adwokat, że jeśli raz zostałem uznany za słabego na umyśle, to powinienem mieć z tego korzyść na całe życie.

— Ja tym lekarzom sądowym nic nie wierzę — zauważył człowiek o inteligentnym wyglądzie. — Kiedy razu pewnego sfałszowałem weksle, zacząłem na wszelki wypadek chodzić na wykłady psychiatryczne doktora Heverocha, a gdy mnie złapali, symulowałem paranoika akurat tak, jak wypadało podług tych wykładów doktora Heverocha. Jednego z lekarzy ugryzłem w nogę podczas komisji, wypilem atrament z kałamarza i wyknociłem się, z przeproszeniem, w kącie izby przed całą komisją. Ale za to, żem jednego z tych panów ugryzł w łydkę, uznali mnie za zupełnie zdrowego i byłem zgubiony.

— Ja się badania tych panów nic a nic nie boję — oświadczył Szwejk. — Jakem służył w wojsku, to mnie badał jeden weterynarz i nic mi się nie stało.

— Lekarze sądowi to dranie — ozwał się mały, skulony człowiek. — Niedawno temu jakimś trafem wykopano na mojej łące szkielet, a lekarze sądowi powiedzieli, że ten szkielet był zamordowany jakimś tępym narzędziem w głowę, i to przed czterdziestu laty. Ja mam lat trzydzieści osiem i zostałem aresztowany, chociaż mam metrykę chrztu, wyciąg z ksiąg stanu cywilnego i paszport.

— Sądzę — rzekł Szwejk — że na wszystko powinniśmy spoglądać z tej drugiej, pogodniejszej strony. Każdy omylić się może, a musi się omylić tym bardziej, im bardziej o czymś rozmyśla. Lekarze sądowi to ludzie, a ludzie mają swoje wady. Raz trafiło mi się w Nusslach, że na moście na rzece Boticz podszedł do mnie w nocy pewien pan, kiedyś powracał z gospody „U Banzetów”, i trzasnął mnie bykowcem przez głowę, a gdy leżałem na ziemi, przyjrzał mi się przy świetle latarki i powiedział: „To pomyłka. To nie ten”. I tak go ta pomyłka rozżłościła, że mnie przeciągnął bykowcem jeszcze raz przez plecy. Taka to już jest natura ludzka, że człowiek myli się aż do śmierci. Był też taki jeden, który znalazł w nocy wściekłego psa na pół zmarłego, zabrał go z sobą i wsunął żonie pod pierzynę, jak się ten pies rozgrzał i okrzepl, to pogryzł całą rodzinę, a najmłodsze dziecko w kołysce rozszarpał i zeżarł. Albo dam wam przykład, jak w naszych stronach pomylił się pewien tokarz. Otworzył sobie kluczem kościółek św. Michała w Pradze na Podolu, bo myślał, że to jego dom, w zakrystii zdjął buty, bo myślał, że to ich kuchnia, położył się na ołtarzu, bo myślał, że to jego łóżko, i przykrył się takimi zasłonami ze świętymi napisami, a żeby mu było wygodniej, pod głowę położył sobie Ewangelię i inne księgi święte. Rano kościelny znalazł go w kościele, a ten, gdy się już całkiem opamiętał, powiada całkiem dobrodusznie, że to pomyłka. „Ładna pomyłka” — rzekł kościelny — „kiedy przez tę pomyłkę będziemy musieli kościół na nowo wyświęcać”. Potem tego tokarza badali lekarze sądowi i dowiedli mu, że był zupełnie poczytalny i trzeźwy, ponieważ gdyby był schlany, toby nie trafił kluczem do zamku drzwi kościelnych. Potem ten tokarz zmarł na Pankracu w więzieniu. Dam wam też przykład, jak na Kladnie pomylił się pewien pies policyjny, wilk tego znanego rotmistrza Rottera.

Rotmistrz Rotter hodował takie psy i robił doświadczenia z włóczkami, tak że wszystkie wędruśy zaczęły Kładno omijać. Więc wydał rozkaz, żeby żandarmi za wszelką cenę przyprowadzili jakiegoś podejrzanego. Przyprowadzili mu tedy dość przyzwoicie ubranego człowieka, którego znaleźli w lańskich lasach siedzącego na jakimś pniaku. Zaraz też kazał, aby mu odcięli kawałek poły od surduta, dał ten kawałek surduta obwąchać swoim żandarmskim psom, a potem zaprowadzili tego człowieka do jakiejś cegielni za miastem, a jego śladem puścili te wytresowane psy, które go też znalazły i przyprowadziły z powrotem. Potem ten człowiek musiał wlaźć po drabinie na strych, skakać przez mur, wskoczyć do stawu, a psy za nim. W końcu pokazało się, że ten człowiek to był jeden czeski poseł radykalny, który wyjechał sobie na wycieczkę do lańskich lasów, bo go parlament już zmierzył. Toteż mówię, że ludzie mają swoje wady i myślą się, czy to będzie uczony, czy też głupi, nieokrzesany idiota. Mylą się i ministrowie.

Komisja sądowo-lekarska, która miała decydować o tym, czy duchowy horyzont Szwejka odpowiada, czy nie odpowiada wszystkim tym zbrodniom, o które został oskarżony, składała się z trzech niezwykle poważnych panów, o poglądach, którymi każdy z nich różnił się zasadniczo od poglądów obu pozostałych kolegów.

Panowie ci reprezentowali trzy różne szkoły psychiatryczne i różne poglądy naukowe.

Jeśli pomimo to w przypadku Szwejka doszło do całkowitej zgody między trzema przeciwnymi sobie obozami, to da się to objaśnić jedynie oszałamiającym wrażeniem, jakie na całej komisji wywarł Szwejk, gdy wszedłszy do sali, w której miał być badany jego stan umysłowy, i ujrzawszy na ścianie obraz austriackiego monarchy, zawołał:

— Panowie, niech żyje cesarz Franciszek Józef II!

Sprawa była zupełnie jasna. Spontaniczna manifestacja Szwejka usuwała cały szereg kwestii, pozostawiając tylko niektóre najważniejsze pytania; odpowiedź na nie miała potwierdzić pierwotny sąd o Szwejku w oparciu o system doktora psychiatrii Kallersona, doktora Heverocha i Anglika Weikinga.

— Czy radium jest cięższe od ołowiu?

— Ja go, proszę panów, nie ważyłem — odpowiedział Szwejk ze swoim miłym uśmiechem.

— Czy wierzysz pan w koniec świata?

— Naprzód musiałbym ten koniec zobaczyć — niedbale odpowiedział Szwejk. — Ale z pewnością jeszcze nie jutro nastąpi.

— Czy potrafiłby pan obliczyć przekrój kuli ziemskiej?

— Nie umiałbym, proszę panów — odpowiedział Szwejk — ale i ja bym panom też mógł zadać zagadkę. Jest dom o trzech piętrach, każde piętro ma osiem okien. Na dachu są dwa dymniki i dwa kominy. Na każdym piętrze mieszkają dwaj lokatorzy. A teraz powiedzcie, panowie, którego roku umarła babka stróża?

Lekarze sądowi spojrzeli po sobie wymownie, niemniej jednak jeden z nich zadał Szwejkowi jeszcze takie pytanie:

— Czy zna pan największą głębię Oceanu Spokojnego?

— Nie znam, proszę panów — brzmiała odpowiedź — ale sądzę, że z pewnością jest większa niż w Wełtawie pod Skałą Wyszehradzką. Przewodniczący komisji zapytał krótko:

— Wystarczy?

Ale mimo to jeden z członków zadał Szwejkowi jeszcze takie pytanie:

— Ile będzie, gdy dwadzieścia tysięcy osiemset dziewięćdziesiąt siedem pomnożymy przez trzynaście tysięcy osiemset sześćdziesiąt trzy?

— Siedemset dwadzieścia dziewięć — odpowiedział Szwejk bez wahania.

— Sądzę, że to zupełnie wystarczy — rzekł przewodniczący komisji, a zwracając się do strażnika rzekł: — Proszę odprowadzić tego oskarżonego na dawne miejsce.

— Dziękuję wam, panowie — grzecznie skłonił się Szwejk. — Mnie to też zupełnie wystarczy.

Po jego wyjściu kolegium trzech zgodziło się łatwo, że Szwejk jest notoryczny matolek i idiota według wszystkich praw przyrody, wynalezionych przez uczonych psychiatrów.

W relacji przesłanej sędziemu śledczemu było między innymi:

„Niżej podpisani lekarze sądowi ustalają całkowitą tępotę umysłową i wrodzony kretynizm przedstawionego wyżej wymienionej komisji Józefa Szwejka, która to tępota wyraża się takimi słowami, jak np.: »Niech żyje cesarz Franciszek Józef I!« — co samo przez się wystarcza do oświecenia stanu umysłowego Józefa Szwejka jako notorycznego matole. Niżej podpisana komisja proponuje, zatem: 1. Umorzyć dochodzenie przeciwko Józefowi Szwejkowi. 2. Odesłać Józefa Szwejka do kliniki psychiatrycznej dla ustalenia, jak dalece jego stan umysłowy może stać się niebezpieczny dla otoczenia”.

Podczas gdy redagowano powyższe orzeczenie, Szwejk opowiadał swoim współtowarzyszom:

— O Ferdynandzie nie było wcale mowy, ale rozmawiali ze mną o jeszcze większych cymbałstwach. Wreszcie powiedzieliśmy sobie, że to, o czym była mowa, zupełnie nam wystarcza, i rozeszliśmy się.

— Ja tam nikomu nie wierzę — zauważył mały, skulony człowieczek, na którego łące przypadkowo wykopano szkielet. — Złodziej na złodzieju.

— I złodziejstwo też musi być — rzekł Szwejk, kładąc się na boki. — Gdyby wszyscy ludzie życzyli sobie nawzajem dobrze, toby sobie niedługo łby pourywali.

IV

Szwejk wypędzony z domu wariatów

Gdy w czasach późniejszych Szwejk opowiadał o życiu w domu wariatów, nie znajdował słów na pochwałę tej instytucji.

— Doprawdy, że nie mogę zrozumieć, dlaczego wariaty gniewają się, że każą im tam siedzieć. Człowiek sobie może łązić nago po podłodze, wyć jak szakał, wściekać się i kąsać. Gdyby człek zrobił coś podobnego gdzieś na promenadzie, toby ludzie otwierali gęby, ale tam takie rzeczy należą do najzwyczajniejszych. Taka tam panuje wolność, o jakiej nawet socjalistom się nie śniło. Można się tam podawać za Pana Boga albo za Przenajświętszą Panienkę, za papieża, za angielskiego króla, za najjaśniejszego pana czy za świętego Wacława, aczkolwiek ten ostatni był ciągle więzany i musiał nagi leżeć w izolatce. Był tam też jeden, który wykrzykiwał, że jest arcybiskupem, ale nic nie robił, tylko żarł, spał i jeszcze z przeproszeniem robił coś takiego, co można łatwo zrymować, ale tam się takich rzeczy nikt nie wstydzi. Jeden podawał się nawet za świętych Cyryla i Metodego, żeby mu dawali podwójne porcje. Inny znowu był w ciąży i każdego zapraszał na chrzciny. Siedziało tam pod kluczem bardzo dużo szachistów, polityków, rybaków i skautów, zbieraczy marek i fotografów amatorów. Pewien człowiek siedział z powodu jakichś starych garnków, które nazywał popielnicami. Jednego trzymali tam stale w kaftanie bezpieczeń-

stwa, żeby nie mógł wyliczyć, kiedy nastąpi koniec świata. Spotkałem tam też kilku profesorów. Jeden z nich stale chodził za mną i dowodził mi, że kolebka Cyganów jest w Karkonoszach, a ten drugi objaśniał mnie, że wewnątrz kuli ziemskiej znajduje się jeszcze jedna, daleko większa od zewnętrznej. Każdy mógł tam wygadywać, co mu ślina na język przyniosła, jakby był w parlamencie. Czasem opowiadali sobie tam bajki i bili się, gdy z jaką królewną źle się skończyło. Najbardziej opętany był jeden pan, który podawał się za szesnasty tom *Leksykonu naukowego* Otty i każdego prosił, żeby go otworzył i odszukał hasło „Kartonażowa maszyna do szycia”, bo inaczej zginie. Uspokoił się dopiero wówczas, gdy mu nałożono kaftan bezpieczeństwa. Chwalił to sobie, mówiąc, że się dostał do prasy introligatorskiej, i prosił, żeby mu zrobili modny sznyt. W ogóle żyło się tam jak w raj. Można tam wrzeszczeć, ryczeć, śpiewać, płakać, pobekiwać, jęczeć, skakać, modlić się, fikać kozły, chodzić na czworakach, podskakiwać na jednej nodze, kręcić się w kółko, tańczyć, hopsać, siedzieć przez cały dzień w kukki i wdrapywać się na ściany. Nikt do nikogo nie podejdzie i nie powie: „Tego robić nie wolno, to nie wypada, tego się trzeba wstydzić, jeśli chcesz uchodzić za człowieka dobrze wychowanego”. Ale trzeba dodać, że nie brak tam całkiem cichych wariatów. Był tam na przykład jeden wykształcony wynalazca, który ciągle dłubał w nosie i tylko raz na dzień mówił: „W tej chwili wynalazłem elektryczność”. Nie ma co gadać, bardzo ładnie tam było i te kilka dni, które spędziłem w domu wariatów, należą do najpiękniejszych chwil mego życia.

Istotnie, już samo przywitanie, jakie oczekiwało Szwejka w domu wariatów, gdy został tam przywieziony z sądu krajowego na obserwację, przeszło wszystkie jego najśmielsze oczekiwania. Najpierw rozebrali go do naga, ubrali w miękki szlafrok i zaprowadzili do kąpeli. Pielęgniarki ujęli go delikatnie pod ramię, a jeden z nich opowiadał mu wesołą anegdotę o Żydach. W łazience zanurzono go w wannie z ciepłą wodą, a potem zaprowadzono pod chłodny natrysk. Powtórzywszy to trzy razy, pytali go, jak mu się to podoba. Szwejk odpowiedział, że to daleko lepsze od łaźni przy Moście Karola i że bardzo lubi się kąpać.

— Jeśli jeszcze ostrzyżecie włosy i przytniecie paznokcie, to już niczego mi nie zabraknie do zupełnego szczęścia — dodał, uśmiechając się przyjemnie.

I temu życzeniu uczynili zadość, a potem porządnie go umyli gąbką, owinęli w prześcieradło i zanieśli do pierwszego oddziału na łóżko, gdzie okryli go starannie kołdrą i poprosili, żeby zasnął. Jeszcze dzisiaj Szwejk opowiada o tym wszystkim z zachwytem:

— Wyobraźcie sobie, że mnie nieśli, naprawdę nieśli. Było mi w owej chwili tak błogo.

W łóżku z tej błogości zaraz zasnął. Potem go obudzili i postawili przed nim kubek mleka i bułkę. Bułka była już pokrajana na drobne kawałki i podczas gdy jeden z pielęgniarzy trzymał Szwejka za obie ręce, drugi maczał kawałki bułki w mleku i karmił go nimi, jak się karmi gęś kluskami. Gdy już był nakarmiony, wzięli go pod pachy i zaprowadzili do ustępu, gdzie poprosili go, aby wykonał małą i dużą potrzebę cielesną.

I o tej pięknej chwili wspomina Szwejk ze wzruszeniem, a nie potrzebując chyba powtarzać jego słów o tym, co mu potem zrobili. Nadmienię tu jedynie, iż Szwejk mawia:

— Wyobraźcie sobie, że jeden z nich trzymał mnie przy tym w objęciach.

Gdy go przyprowadzili na salę, położyli znowu do łóżka i znowu prosili, aby zasnął. A gdy zasnął, zbudzili go i zaprowadzili do gabinetu na badanie, gdzie Szwejk, stojąc zupełnie nagi przed dwoma lekarzami, przypominał sobie sławne czasy poboru do wojska. Mimo woli z ust wyrwało mu się słowo:

— *Tauglich*¹.

— Co mówicie? — zapytał jeden z lekarzy. — Zróbcie pięć kroków naprzód i pięć w tył.

Szwejk zrobił od razu kroków dziesięć.

— Mówiłem przecie, że macie zrobić pięć kroków — mówił lekarz.

— Ja tam, proszę pana, paru kroków nie żałuję — odpowiedział Szwejk.

¹ *Tauglich* (niem.) – Zdątny.

Potem wezwali go lekarze, aby usiadł na krześle, a jeden z nich stukał go w kolana. Rzekł wtedy do drugiego lekarza, że odruchy są całkiem prawidłowe, ale tamten pokręcił głową i sam zaczął stukać go w kolana, podczas gdy pierwszy przymykał i odchyłał powieki Szwejka i przyglądał się jego żrenicom. Potem oddalili się ku stołowi i wymienili kilka wyrazów łacińskich.

— Słuchajcie no, umiecie wy śpiewać? — zapytał Szwejk jeden z lekarzy. — Może nam zaśpiewacie jaką piosenkę.

— Naturalnie, proszę panów — odpowiedział Szwejk. — Co prawda, nie mam ani głosu, ani słuchu muzycznego, ale jeśli panowie chcą użyć przyjemności, to spróbuję spełnić wasze życzenie.

I Szwejk zaśpiewał:

Hej, ten młody mnich na ławie
Czoło nad prawicą skłonił
I na blade swe policzki
Dwie gorące łzy uronił...

— Dalej nie umiem — mówił Szwejk. — Jeśli panowie chcą, to zaśpiewam co innego:

O, jak mi ciężko dziś na sercu,
Jak ciężko piersi się oddycha,
Gdy cicho siedzę, z myślą się biedzę,
A pierś za dalą tęsknie vzdycha...

— I tego też dalej nie umiem — westchnął Szwejk. — Umiem jeszcze pierwszą strofę *Kde domov můj i Jenerał Windischgrätz i wojenne pany od samego wschodu słońca wojowały*, i jeszcze parę takich ludowych piosenek, jak np. *Boże, chroń cesarza, Jakeśmy szli do Jaromierza i Bądź tysiąckroć pozdrowiona...*

Obaj panowie doktorzy spojrzeli po sobie i jeden z nich zadał Szwejkowi pytanie:

— Czy wasz stan umysłowy był już kiedy badany?

— W wojsku — odpowiedział Szwejk dumnie i uroczyście — byłem przez panów wojskowych lekarzy urzędowo uznany jako notoryczny idiota.

— Mnie się zdaje, że jesteście symulant! — krzyknął drugi lekarz na Szwejka.

— Ja, proszę panów — bronił się Szwejk — nie jestem żaden symulant, ja jestem naprawdę idiota, możecie się panowie spytać w kancelarii 91 pułku w Czeskich Budziejowicach albo w Komendzie Uzupełnień w Karlinie.

Starszy lekarz zrobił ręką beznadziejny gest, a wskazując na Szwejka, rzekł do pielęgniarzy:

— Temu człowiekowi oddacie ubranie i przeniesiecie go na trzeci oddział do pierwszego korytarza, potem jeden z was wróci i zanieśli wszystkie jego papiery do kancelarii. I powiecie tam, niech się śpieszą i prędko sprawę załatwiają, żebyśmy go tu zbyt długo nie mieli na karku.

Lekarze rzucili jeszcze jedno miażdżące spojrzenie na Szwejka, który z szacunkiem cofał się ku drzwiom i grzecznie się kłaniał. Na pytanie jednego z pielęgniarzy, dlaczego robi takie głupstwa, odpowiedział:

— Ponieważ jestem nieubrany, czyli nagi, więc nie chcę na tych panów nic takiego wypinać, żeby nie powiedzieli, że jestem niegrzeczny albo cham.

Od chwili gdy dozorczy otrzymali rozkaz zwrócenia Szwejkowi ubrania, nie okazywali mu żadnej troskliwości. Nakazali, aby się ubrał, a jeden z nich odprowadził go na trzeci oddział, gdzie przez tych kilka dni, zanim w kancelarii załatwiono urzędowo sprawę jego wylania ze szpitala, Szwejk miał sposobność poczynienia ciekawych spostrzeżeń. Rozczarowani lekarze wystawili mu świadectwo, że jest „symulantem upośledzonym na umyśle”, a ponieważ ze szpitala wydali go przed obiadem, doszło do drobnego zatargu.

Szwejk oświadczył, że jeśli go z domu wariatów wyrzucają, to powinni dać mu obiad.

Awanturze położył kres policjant wezwany przez odźwiernego. Szwejk został zaprowadzony do komisariatu przy ulicy Salma.

V

Szwejk w komisariacie policji przy ulicy Salma

Po pięknych, słonecznych dniach spędzonych w domu wariatów zwały się na Szwejka godziny ciężkich prześladowań. Inspektor policji Braun zaaranżował scenę spotkania ze Szwejkiem z okrucieństwem rzymskich żołdaków z czasów przemiłego cesarza Nerona. Tak jak wtedy mawiano: „Rzućcie tego łajdaka chrześcijanina lwom!” — tak inspektor Braun rzekł twardo:

— Za kratę z nim!

Ani słówka więcej, ani mniej. Tylko w oczach inspektora policji Brauna pojawił się błysk perwersyjnej rozkoszy.

Szwejk skłonił się i rzekł z godnością:

— Jestem gotów, panowie. Mniemam, że krata znaczy to samo, co separacja, a to jeszcze nie najgorsze.

— Nie pytujcie nam tu za wiele — odpowiedział policjant, na co Szwejk zareplikował:

— Jestem całkiem skromny i wdzięczny za wszystko, co panowie dla mnie uczynić raczą.

W celi siedział na pryczy mąż niejaki w głębokiej zadumie. Siedział apatycznie. Gdy klucz zazgrzytał w zamku, miał taką minę, jakby ani przez chwilę nie przypuszczał, że otwierają drzwi, aby go wypuścić na wolność.

— Moje uszanowanie wielmożnemu panu — rzekł Szwejk, siadając obok niego na pryczy. — Która też może być godzina?

— Ja na godzinę gwizdzę — odpowiedział mąż zamyślony.

— Jest tu nie najgorzej — nawiązywał Szwejk rozmowę — na przykład ta pryczka jest z drzewa heblowanego.

Poważny człowiek nie odpowiedział, ale wstał i zaczął chodzić po celi krokiem szybkim, przemierzając przestrzeń między pryczą a drzwiami, jakby się śpieszył i pragnął coś uratować.

Tymczasem Szwejk z dużym zainteresowaniem przyglądał się napisom nagryzmołonym na ścianach. Był tam na przykład jeden napis, którego autor przysięgał niebu toczyć z policją walkę na śmierć i życie. Tekst był taki:

„Dam ja wam, dranie”.

Inny więzień napisał:

„Całujcie mnie w nos, koguty”.

Inny stwierdzał prosty fakt:

„Siedziałem tu 5 czerwca 1913 i obchodzono się ze mną przyzwoicie. Józef Mareczek, kupiec z Vrszovic”.

Ale był tu też jeden napis wstrząsający do głębi:

„Łaski, wielki Boże!” — a pod tym dopisek:

„Pocałujcie mnie w d.”.

Litera „d” była przekreślona, a na boku dużymi literami dopisano: „połę”. Jakaś dusza poetycka napisała obok tego wiersz:

Nad strumykiem zasmucony siedzę,
Góra słońko złote przesłoniła,
A ja tęsknym okiem w dal spoglądam,
Tam gdzie mieszka moja miła.

Człowiek, który biegał między drzwiami a pryczą tak szybko, jakby chciał zdobyć rekord w biegu maratońskim, zatrzymał się zdyszany, usiadł na dawnym swoim miejscu, wsparł głowę na dłoniach i ryknął nagle:

— Wypuście mnie na wolność!

— Nie, oni mnie nie wypuszczą — odpowiadał sam sobie — nie wypuszczą i nie wypuszczą. Jestem tutaj już od godziny szóstej rano.

Stał się nagle rozmowny, wyprostował się i zapytał Szwejk:

— Czy nie ma pan przypadkiem rzemieennego pasa, żebym mógł z tym skończyć?

— Z miłą chęcią mogę panu służyć — odpowiedział Szwejk, odpinając pas. — Jeszcze nigdy nie widziałem, jak się ludzie w areszcie wieszają na rzemiennym pasie. Tylko z tym kłopot — mówił Szwejk, rozglądając się dokoła — że tu nigdzie nie ma porządnego haka. Klamka okienna pana nie utrzyma. Chyba że powiesiłby się pan, klęcząc na pryczy, jak zrobił ten mnich w klasztorze emauskim, co się powiesił na krucyfiksie przez jedną młodą Żydówkę. Ja samobójców bardzo lubię. Dalej, a żwawo!

Ponury człowiek, któremu Szwejk wetknął pas w rękę, spojrzał na rzemień, rzucił go w kąt i wybuchnął płaczem, rozmazując brudnymi rękami łzy po całej twarzy. Skrzeczącym głosem wyrzucał przy tym zdanie za zdaniem:

— Ja mam dzieciutki, ja się tu dostałem za pijaństwo i za niemoralne życie. Jezus Maria, moja biedna żona, co też powiedzą teraz w urzędzie? Ja mam dzieciutki, ja tu jestem za pijaństwo i życie niemoralne. — I tak dalej w kółko i bez końca.

Wreszcie uspokoił się trochę, podszedł ku drzwiom i zaczął w nie kopać i walić pięściami. Za drzwiami dały się słyszeć kroki i ozwał się głos:

— Czego tam?

— Wypuście mnie na wolność! — rzekł aresztant takim głosem, jakby wolność była do istnienia koniecznie potrzebna.

— Gdzie wam tak pilno? — pytano z drugiej strony drzwi.

— Do urzędu — odpowiedział nieszczęśliwy ojciec, małżonek, urzędnik, pijak i rozpustnik.

Ozwał się śmiech, upiorny śmiech wśród ciszy korytarza, i kroki się oddalały.

— Jeśli się nie mylę, to ten pan nienawidzi pana, skoro się z pana tak śmieje — mówił Szwejk, podczas gdy złamany na duchu mąż usiadł znowu obok niego. — Taki dozorca jest zdolny do wszystkiego, gdy się rozzłości. Niech pan siedzi spokojnie, skoro nie chce się pan powiesić, i niech pan czeka, co będzie dalej. Jeśli pan jest urzędnikiem, żonatym i jeszcze do tego ma pan dzieci, to zgadzam się, że to jest straszne. Jeśli się nie mylę, to pan jest przekonany, że pana wydalą z urzędu.

— Tego panu powiedzieć nie mogę — westchnął zapytany — ponieważ sam już nie pamiętam, co wyrabiałem. Wiem tylko tyle, że mnie skądś wyrzucili i miałem tam wrócić, aby zapalić sobie cygaro. Ale przedtem to wszystko tak się ładnie zaczęło. Naczelnik naszego wydziału obchodził imieniny i zaprosił nas do pewnej winiarni, potem poszliśmy do drugiej, do trzeciej, do czwartej, do piątej, do szóstej, do siódmej, do ósmej, do dziewiątej...

— Może pan sobie życzy, żeby mu pomóc liczyć? — zapytał Szwejk. — Ja się na tych rzeczach znam, bo pewnej nocy byłem w dwudziestu ośmiu lokalach. Ale muszę się pochwalić, że nigdzie nie zamawiałem więcej niż trzy piwa.

— Jednym słowem — mówił dalej nieszczęśliwy podwładny pana naczelnika, który tak wspaniale obchodził imieniny — gdybyśmy absolwowali z tuzin tych spelunczek, zauważyliśmy, że pan naczelnik nam się gdzieś zapodział, pomimo że uwiązaliśmy go na szpagacie i wodziliśmy z sobą jak pieska. Więc gdy nam zginął, poszliśmy go szukać, a przy tym szukaniu poginęliśmy sobie nawzajem, aż wreszcie sam jeden znalazłem się w nocnym lokalu na Vinohradach, a był to lokal przyzwoity, gdzie piłem jakiś likier prosto z butelki. Co później jeszcze robiłem, tego już nie pamiętam, wiem tylko tyle, że już w komisariacie, gdy zostałem tutaj przyprowadzony, obaj policjanci, co mnie przyprowadzili, składali raport, że się upiłem, że się zachowywałem niemoralnie, że pobiłem pewną damę, że scyzorykiem porząłem czyjś kapelusz, który zdjąłem z wieszaka, rozpędziłem damską kapelę, oskarżyłem publicznie oberkelnera, że

ukradł mi dwadzieścia koron, przetrąciłem marmurową płytę stołu, przy którym siedziałem, i rozmyślnie naplułem w czarną kawę pewnemu panu, który siedział przy sąsiednim stole. Więcej nic nie zrobiłem, a przynajmniej nie mogę sobie przypomnieć, abym zrobił jeszcze coś takiego. I proszę mi wierzyć, że jestem taki porządny, inteligentny człowiek, który nie myśli o niczym innym, tylko o swojej rodzinie. Co pan na to wszystko powie? Przecież ja nie jestem żaden awanturnik.

— Dużo też pan miał roboty z przetrąceniem tej płyty marmurowej? — zapytał Szwejk, okazując duże zainteresowanie. — Czy może przetrącił ją pan od jednego zamachu?

— Od jednego — odpowiedział inteligentny pan.

— W takim razie jest pan zgubiony — rzekł Szwejk w zamyśleniu. — Dowiodą panu, że pan się do tego przygotowywał pilnym ćwiczeniem. A ta kawa obcego pana, w którą pan napluł, czy była z rumem, czy bez rumu? — I nie czekając odpowiedzi, wyjaśniał: — Jeśli była z rumem, to sprawa będzie gorsza, ponieważ taka kawa jest droższa. W sądzie oblicza się wszystko skrupulatnie, żeby można było doliczyć się przynajmniej grubej zbrodni.

— W sądzie — jęknął bezradnie sumienny ojciec rodziny i opuściwszy głowę popadł w niemiły stan, w którym człowieka żrą wyrzuty sumienia¹.

— A czy w domu wiedzą już, że pan się dostał za kratę? — pytał Szwejk. — Czy też będą czekali, aż o tym będzie w gazetach?

— Pan sądzi, że to się dostanie do gazet? — naiwnie spytała ofiara imieniem swego przełożonego.

— To więcej niż pewne — brzmiała surowa odpowiedź, bo wiem Szwejk nigdy nie miał zwyczaju ukrywać coś przed ludźmi. — Wszystkie te rzeczy będą się czytelnikom gazet ogromnie podobały. Ja też bardzo lubię odczytywać rubrykę o pijanicach i o awanturach.

¹ człowieka żrą wyrzuty sumienia — niektórzy pisarze używają wyrażenia: „Gryzą wyrzuty sumienia”. Uważam takie wyrażenie za nie dość ściśle. I tygrys żre człowieka, a nie gryzie. [przypis autorski]

Niedawno temu „Pod Kielichem” pewien gość nie zrobił nic takiego, tyle tylko, że sam sobie stłukł kufel na głowie. Podrzucił go do góry i stanął pod nim. Odwieźli go z gospody, a rano już o tym czytaliśmy. Albo na przykład w „Bendlovce” dałem razu pewnego jednemu karawaniarzowi w pysk, a on mi oddał. Abyśmy się mogli pogodzić, musieli nas obu aresztować i zaraz było o tym w wieczornych gazetach. Albo gdy w kawiarni „Pod Trupem” stłukł pan radca dwa talerzyki, to myśli pan, że mieli wzgląd na niego? Zaraz na drugi dzień był w gazetach. Może pan zrobić tylko tyle, że z aresztu pošle pan do gazet sprostowanie, iż wiadomości, które zostały zamieszczone, nie dotyczą pana, i że z tym panem, o którym mowa, nie jest pan ani spokrewniony, ani zaprzyjaźniony. Zaś do domu napisze pan, żeby panu to sprostowanie z gazety wycięli; przeczyta je pan sobie, jak odsiedzi karę. Czy panu nie chłodno? — zapytał Szwejk ze współczuciem, gdy zauważył, że inteligentny pan się trzęsie. — W tym roku koniec lata jest trochę chłodnawy.

— Ja jestem skompromitowany — zapłakał towarzysz Szwejka. — Kariera moja skończona.

— A tak — najchętniej zgadzał się Szwejk. — Gdy po odsiedzeniu kary nie przyjmą pana na dawne stanowisko, to nie wiem, czy tak łatwo znajdzie pan inne miejsce, bo każdy pracodawca, choćby i hycel, żąda świadectwa moralności. Święta prawda, że taka chwilka rozkoszy, jakiej pan wtedy zażył, nie opłaca się. A czy małżonka pańska i dzieci mają środki utrzymania przez ten czas, kiedy pan tu będzie siedział? Czy też będzie musiała chodzić żebrac i uczyć dzieci różnych występków.

Ozwało się łkanie.

— Moje biedne dziatki! Moja biedna żona!

Skruszony grzesznik wstał i rozgaądał się o swoich dziatkach: ma ich pięcioro, najstarszy ma lat dwanaście i należy do tych tam skautów. Pije tylko wodę, a ojciec powinien sobie brać przykład z niego, taki ojciec, który po raz pierwszy w życiu dopuścił się takich rzeczy.

— Do skautów należy? — zapytał Szwejk. — Bardzo lubię słuchać opowiadania o tych skautach. Pewnego razu w Mydlovarach koło Zlivia, obwód Hluboka, powiat Czeskie Budziejowice, akurat wtedy, jakśmy tam — 91 pułk — mieli ćwiczenia, chłopci okoliczni zrobili obławę na skautów w lesie gminnym, bo im się tam bardzo rozplenili. Złapali trzech. Ten najmniejszy z nich, gdy go wiązali, kwilił, piszczał i tak narzekał, że my, zahartowane wojaki, nie mogliśmy na to patrzeć i woleliśmy odejść. Przy tym wiązaniu ci trzej skauci pokąsali ośmiu chłopów. Potem na mękach u wójta, pod trzcina, zeznali, że w całej okolicy nie ma ani jednej łąki, której nie byliby wygnietli, gdy się wygrzewali na słońcu, dalej, że koło Ražic przed samymi żniwami jeden łąn żyta na pniu spalił się tylko skutkiem nieszczęśliwego wypadku, kiedy sobie w życie na różnie piekli sarenkę, upolowaną za pomocą noża w lesie gminnym. W ich kryjówce leśnej znaleziono przeszło pół korca ogryzionych kości drobiu i dziczyzny, ogromne mnóstwo pestek czereśni, zatrząsienie ogryzków z niedojrzałych jabłek i inne dobre rzeczy.

Ale niefortunny ojciec skauta nie dał się pocieszyć.

— Co ja zrobiłem? — biadał. — Reputację mam zmarnowaną.

— Słusznie pan powiedział — rzekł Szwejk z wrodzoną szczerością. — Po tym, co się stało, musi pan mieć reputację zmarnowaną na całe życie, ponieważ pańscy dodadzą jeszcze to i owo do tego, co będą czytali w gazetach o panu. To się zawsze tak robi, ale niech pan się tym nie przejmuje. Takich ludzi, co mają zaszarganą albo zmarnowaną reputację, jest na świecie przynajmniej dziesięć razy tyle, ile jest ludzi z dobrą reputacją. To taka drobnostka, o której nie warto gadać.

Na korytarzu dały się słyszeć ciężkie kroki, klucz zazgrzytał w zamku, drzwi się otworzyły, a od progu policjant wywołał Szwejka po imieniu i nazwisku.

— Przepraszam pana — rzekł rycerski Szwejk — ja tu jestem dopiero od godziny dwunastej, a ten pan już od szóstej rano, więc mnie nie pilno.

Zamiast odpowiedzi krzepka ręka policjanta wyciągnęła Szwejka na korytarz i bez jednego słowa poprowadziła go po schodach na piętro.

W drugim pokoju przy stole siedział komisarz policji, otyły pan o dobrodusznym wyglądzie. Pan ten ozwał się uprzejmie:

— Aha, to pan jest ten Szwejk? A w jaki sposób pan się tu dostał?

— W sposób najzwyczajniejszy — odpowiedział Szwejk. — Przyprowadził mnie tu jeden pan policjant, ponieważ nie chciałem się zgodzić na to, żeby mnie z domu wariatów wyrzucali na czczo. Bo to jest tak, jakby mnie uważali za taką dziewczkę z ulicy, co to ją można kopnąć.

— Wie pan co, panie Szwejk — rzekł uprzejmie pan komisarz. — Na co nam tu, na Salmovcu, ten cały ambaras? Czy nie lepiej będzie, gdy pošlemy pana do dyrekcji policji?

— Pan jest, że się tak wyrażę, panem sytuacji — mówił Szwejk spokojnie. — Teraz pod wieczór taki spacerek będzie bardzo przyjemny.

— Bardzo mi miło, żeśmy się tak łatwo dogadali — rzekł wesoło komisarz policji. — Najlepiej żyć w zgodzie. Prawda, panie Szwejk?

— Ja też bardzo lubię zgodzić się z każdym — odpowiedział Szwejk. — Ja pańskiej dobroci nigdy nie zapomnę. Niech mi pan wierzy, panie komisarzu.

Skłoniwszy się grzecznie, wyszedł z policjantem i już po upływie kwadransa widać było Szwejka pod opieką tegoż policjanta na rogu ulicy Jęczmiennej i placu Karola. Policjant miał pod pachą dużą księgę z niemieckim napisem: *Arrestantenbuch*¹.

Na rogu ulicy Spalonej Szwejk, idący ze swoim towarzyszem, zetknął się z tłumem ludzi tłoczących się dokoła wielkiego obwieszczenia.

— To manifest najjaśniejszego pana o wypowiedzeniu wojny — rzekł policjant do Szwejka.

— Ja to przewidziałem — rzekł Szwejk — ale u wariatów nic jeszcze o tym nie wiedzą, chociaż powinni by to mieć z pierwszej ręki.

¹ *Arrestantenbuch* (niem.) – Księga aresztowanych.

— Jak pan to rozumie? — zapytał policjant Szwejk.

— Ponieważ u wariatów siedzi pod kluczem dużo panów oficerów — tłumaczył Szwejk, a gdy zrównali się z tłumem stojącym przed manifestem, zawołał: — Cesarz Franciszek Józef niech żyje! Tę wojnę wygramy!

Ktoś z nadmiaru entuzjazmu wcisnął Szwejkowi kapelusz na uszy, po czym dobry wojak Szwejk, otoczony zbiegowiskiem ludzi, wkroczył po raz drugi w bramę dyrekcji policji.

— Tę wojnę wygramy z całą pewnością, powtarzam to jeszcze raz, panowie! — zawołał Szwejk, rozstając się z tłumem, który mu towarzyszył.

A gdzieś z mrocznej otchłani wieków przybliżała się ku Europie prawda, że dzień jutrzejszy zniweczy plany teraźniejszości.

VI

Szwejk przerywa zaczarowane koło i wraca do domu

Gmach dyrekcji policji przenikał chłód obcego autorytetu, śledzącego pilnie, jak dalece ludność entuzjazmuje się wojną. Prócz garści ludzi, którzy się nie wyparli, że są synami narodu mającego przelewać krew za sprawy zgoła mu obce, dyrekcja policji była wspaniałą kolekcją biurokratycznych drapieżników, których jedynym celem życia była obrona suchych i bezdusznych paragrafów przy pomocy więzienia i szubienicy.

Z ofiarami swymi ludzie ci obchodzili się z jadowitą uprzejmością, czyhając baczenie na każde ich słowo.

— Bardzo mi przykro — rzekł jeden z tych czarno-żółtych drapieżników, gdy przyprowadzono doń Szwejka — że pan znowu dostał się w nasze ręce. Myśleliśmy, że się pan poprawi, ale spotkał nas zawód.

Szwejk bez słowa potakiwał głową i miał minę tak niewinną, że czarno-żółta bestia spojrzała na niego z dużym zaciekawieniem i rzekła z naciskiem:

— Nie rób pan takiej idiotycznej miny.

Ale natychmiast przeszła znowu na ton wielkiej uprzejmości i mówiła dalej:

— Dla nas jest rzeczą bardzo niemiłą trzymać pana w areszcie i mogę pana zapewnić, że zdaniem moim wina pańska nie jest tak wielka, bo przy małej pańskiej inteligencji nie można wątpić, że został pan oszukany. Niech pan mi powie, panie Szwejk, kto też pana namawia, aby pan wyprawiał takie głupstwa?

Szwejk zakaszał i ozwał się:

— Ja, proszę pana, o żadnych głupstwach nic nie wiem.

— A czyż to nie jest głupstwo, panie Szwejk — wywodził urzędnik obłudnym, ojcowiskim tonem — gdy pan, według opowiadania policjanta, który pana tutaj przyprowadził, spowodowałeś zbiegowisko przed manifestem o wojnie, wywieszonym na rogu ulicy, i gdy podburzałeś lud wołaniem: „Niech żyje cesarz Franciszek Józef! Ta wojna jest wygrana!”

— Nie mogłem być obojętny — wyjaśniał Szwejk, spoglądając swymi zacnymi oczami w oczy inkwizytora. — Oburzyło mnie to, gdy widziałem, że wszyscy czytają ten manifest o wojnie, a nikt nie okazuje radości. Nikt nie wiwatuje, nikt nie woła „hura”, w ogóle nic, panie radco. To tak, jakby ich to wcale nie obchodziło. Więc ja, stary wojak z 91 regimentu, nie mogłem już na to patrzeć, krzyknąłem, co się należało, i myślę, że gdyby pan był na moim miejscu, toby pan postąpił tak samo jak ja. Jak jest wojna, to musi być wygrana i trzeba wołać: „Niech żyje najjaśniejszy pan!” — tego mnie nikt uczyć nie potrzebuje.

Przekonany i skruszony czarno-żółty drapieżnik nie mógł znieść dłużej spojrzenia niewinnego baranka Szwejka, opuścił więc oczy na urzędowe akta i rzekł:

— Uznaję całkowicie pański zapal, ale powinien się on przejawiać w innych okolicznościach. Sam pan wie dobrze, że prowadził pana policjant, więc taki wybuch patriotyzmu musiał wyrzucić na publiczności wrażenie raczej ironiczne niż poważne.

— Gdy kogoś prowadzi policjant — odpowiedział Szwejk — to taki moment w życiu jest ciężki. Ale gdy człowiek nawet w takim momencie nie zapomina o tym, co należy robić, gdy jest wojna, to ja sądzę, że taki człowiek zły nie jest.

Czarno-żółta bestia zawarczała i jeszcze raz spojrzała Szwejkowi w oczy.

Szwejk odpowiedział niewinnym, miłym, skromnym i tliwym ciepłem swego spojrzenia.

Przez chwilę patrzyli sobie uparcie w oczy.

— Pal pana diabli, panie Szwejk — rzekła wreszcie gęba urzędująca — ale jeśli dostanie się tu pan jeszcze raz, to w ogóle nie będę pana o nic pytał, ale odeślę pana bez jednego słowa do wojennego sądu na Hradczany. Zrozumiał pan?

Nim się pan radca spostrzegł, Szwejk podszedł do niego, pocałował w rękę i rzekł:

— Bóg zapłać za wszystko. Gdyby pan potrzebował czasem jakiego rasowego pieska, to niech pan się zwróci do mnie. Ja handluję psami.

W taki sposób Szwejk znalazł się znowu na wolności i mógł wrócić do domu.

Zaczął się zastanawiać, czy po drodze nie należałoby najpierw wstąpić do gospody „Pod Kielichem”. Skończyło się na tym, że otworzył drzwi, którymi wyszedł był swego czasu w towarzystwie wywiadowcy Bretschneidera.

W gospodzie panowała grobowa cisza. Siedziało tam kilku gości, a wśród nich kościelny z kościoła św. Apolinarego. Wszyscy mieli miny ponure. Za szynkwasem siedziała gospodyni Palivcowa i tępo spoglądała na kurki od piwa.

— Otom i ja — rzekł Szwejk wesoło. — Proszę o szklankę piwa. A gdzież to pan Palivec? Czy też już w domu?

Zamiast odpowiedzi Palivcowa zaczęła płakać, wdychać; każdym słowem wyrażała swoją rozpacz, akcentując osobliwie:

— Dostał... dziesięć... lat... przed... tygodniem.

— No, to już sobie tydzień odsiedział — rzekł Szwejk.

— On był taki ostrożny — płakała Palivcowa — sam to ciągle o sobie powtarzał.

Goście w gospodzie uparcie milczeli, jakby po izbie błędził duch Palivca i napominał ich do jeszcze większej ostrożności.

— Ostrożność to matka mądrości — rzekł Szwejk, zasiadając do stołu nad szklanką piwa. W pianie tego piwa były dziurki od łez Palivcowej, która płakała, podając Szwejkowi kufel do stołu. — Dzisiejsze czasy są takie, że zmuszają człowieka do ostrożności.

— Wczoraj mieliśmy dwa pogrzeby — zmienił temat rozmowy kościelny z kościoła św. Apolinarego.

— Widać ktoś umarł — rzekł drugi gość, a trzeci spytał:

— Czy te pogrzeby były z katafalkiem?

— Chciałbym wiedzieć — rzekł Szwejk — jakie teraz, w czasie wojny, będą te wojskowe pogrzeby.

Goście wstali, zapłacili i bez słowa wyszli. Tylko Szwejk został sam na sam z Palivcową.

— Nawet nie byłbym pomyślał, żeby niewinnego człowieka skazywali na dziesięć lat — rzekł Szwejk. — Że jednego niewinnego skazali na pięć lat, o tym już słyszałem, ale na dziesięć, to trochę za dużo.

— Bo mój chłop się przyznał — płakała Palivcowa — do tego, co tutaj mówił o tych muchach i o tym obrazie, i powtórzył to w dyrekcji policji i w sądzie. Byłam w sądzie na sprawie jako świadek, ale cóż ja tam mogłam świadczyć, kiedy mi powiedzieli, że jestem w stosunku powinowactwa do mego męża i że mogę się rzec zeznania. Ja się tak wystraszyłam tego stosunku powinowactwa, żeby z tego nie było jeszcze czego gorszego, i rzekłam się świadczenia, a mój biedny stary tak na mnie spojrzał, że do samej śmierci nie zapomnę tego spojrzenia. A potem, po wyroku, kiedy go odprowadzali, krzyknął tam na korytarzu, jakby zupełnie zwariował: „Niech żyje Związek Wolnej Myśli!”

— A pan Bretschneider już tu nie bywa? — spytał Szwejk.

— Był tu parę razy — odpowiedziała gospodyni — wypił piwo albo dwa, pytał, kto tu bywa, i przysłuchiwał się, jak goście rozmawiają o footballu. Oni, jak go tylko widzą, zawsze rozmawiają o footballu. A jego podrzucało, jakby go miało pokręcić, jakby miał dostać ataku furii. Przez ten cały czas nabrał tylko jednego tapicera z ulicy Poprzecznej.

— To rzecz wprawdy — rzekł Szwejk. — Czy ten tapicer był głupi człowiek?

— Taki jak mój mąż mniej więcej — odpowiedziała z płaczem. — Pytał się go, czy strzelałby do Serbów. A on odpowiedział, że nie umie strzelać, że był razu pewnego w strzelnicy i postrzelał tam całą koronę. Potem słyszeliśmy wszyscy, jak pan Bretschneider rzekł, zapisując sobie w notatniku: „Patrzcie państwo, znowu taka ładna zdrada stanu” — i zabrał z sobą tego tapicera z ulicy Poprzecznej, który już nie wrócił.

— Dużo jest takich, co już nie powrócą — mówił Szwejk. — Proszę o rum.

Właśnie zamawiał sobie Szwejk drugą porcję rumu, gdy do gospody wszedł po cywilnemu policjant Bretschneider. Rozejrzał się po szynku, przysiadł się do Szwejka, kazał sobie podać piwa i czekał, co Szwejk powie.

A Szwejk, zdjawszy z wieszaka jakąś gazetę i przeglądając ostatnią stronę ogłoszeń, odezwał się:

— Patrzcie państwo, niejaki pan Czimpera, Straszkov numer 5, poczta Raczinie-wieś, sprzedaje gospodarkę z trzynastoma morgami własnego pola. Szkoła i kolej na miejscu.

Bretschneider nerwowo bębnił palcami i zwracając się do Szwejka, rzekł:

— Dziwię się, że pana takie gospodarstwo zajmuje, panie Szwejk.

— Ach, to pan — rzekł Szwejk, wyciągając rękę na przywitanie.

— Nie poznałem pana od razu, bo mam bardzo słabą pamięć. Ostatnio widzieliśmy się bodajże w kancelarii dyrekcji policji, prawda? Co pan porabiał w tym czasie? Czy zachodzi pan tu często?

— Dzisiaj przyszedłem tu, żeby się spotkać z panem — rzekł Bretschneider. — W dyrekcji policji powiedziano mi, że pan sprzedaje psy. Potrzebuję ładnego ratlerka albo szpica czy coś w tym rodzaju.

— Mogę panu służyć psami każdego gatunku — odpowiedział Szwejk. — Życzy pan sobie zwierzę rasowe czy też zwyczajne?

— Sądzę — odpowiedział Bretschneider — że lepiej od razu wziąć rasowe zwierzę.

— No, a psa policyjnego nie życzyłby pan sobie? — zapytał Szwejk. — Takiego mianowicie, który natychmiast wszystko wytropi i naprowadzi na ślad zbrodni? Ma takiego psa jeden rzeźnik we Vrszovicach, a ten pies ciągnie wózek, bo jak to się mówi, minął się ze swoim powołaniem.

— Chciałbym jednak szpica — ze spokojnym uporem mówił Bretschneider. — Szpica, który by nie kąsał.

— A więc życzy pan sobie szpica bez zębów? — zapytał Szwejk. — Wiem o takim szpicu. Ma go pewien właściciel gospody w Dejvicach.

— No, to już lepiej ratlerka — ozwał się zakłopotany pan Bretschneider, którego wiadomości o psach były bardzo nikłe i gdyby nie rozkaz dyrekcji policji, to nigdy by się psami nie interesował.

Ale rozkaz był jasny i wyraźny: zapoznać się bliżej ze Szwejkim, korzystając z tego, że handluje on psami; Bretschneider miał prawo dobrać sobie pomocników i rozporządzał pewnymi sumami na kupno psów.

— Ratlery są większe i mniejsze — rzekł Szwejk. — Wiem o dwóch małych i o trzech większych. Wszystkich pięcioro można sobie położyć na kolanach. Mogę je panu polecić jak najgoręcej.

— Taki ratler bardzo by mi się podobał — zdecydował się Bretschneider. — A ile też kosztuje taki piesek?

— To zależy od wielkości — odpowiedział Szwejk. — Wielkość gra tu ważną rolę. Bo ratlerek to nie ciele. U ratlerków odwrotnie: im mniejszy, tym droższy.

— Ja bym reflektował na większego, który by stróżował — odpowiedział Bretschneider w obawie, aby nie obciążyć nadmiernie tajnego funduszu policji państwowej.

— Dobrze — rzekł Szwejk — większego ratlerka mogę panu sprzedać za pięćdziesiąt koron, a jeszcze większego za czterdzieści pięć, ale zapomnieliśmy o jednej rzeczy: czy to mają być szczenięta, czy też stare psy, i czy chodzi o psy, czy o suki.

— Mnie wszystko jedno — odpowiedział Bretschneider, który zetknął się tu nagle z nie znanymi mu dotychczas zagadnieniami. — Niech pan mi się wystara o pieska, a ja jutro wieczorem o siódmej przyjdę po niego. Będzie?

— Niech pan przyjdzie — sucho odpowiedział Szwejk. — Pies będzie, ale w takim razie jestem zmuszony prosić o zaliczkę trzydziestu koron.

— Rzeczą prostą — rzekł Bretschneider, wyliczając Szwejkowi pieniądze. — A teraz zafundujemy sobie po ćwiartce wina na mój rachunek.

Kiedy wypili, z kolei Szwejk postawił ćwiartkę wina, potem Bretschneider, mówiąc do Szwejka, żeby się go nie obawiał, bo dzisiaj nie ma służby, i każdy śmiało może z nim rozmawiać o polityce.

Szwejk zauważył, że w szynku nigdy o polityce nie rozmawia, bo cała polityka to zabawka dla małych dzieci.

Bretschneider, przeciwnie, ujawniał wielce rewolucyjne poglądy i mówił, że każde słabe państwo skazane jest na zagładę. Przy sposobności zapytał Szwejka, jakie są jego poglądy w tej materii.

Szwejk zameldował mu, że jeszcze nigdy nie miał nic do czynienia z państwem, ale że kiedyś miał pod opieką słabe szczenię bernardyna, które karmił sucharami wojskowymi, i też zdechło.

Przy piątej ćwiartce Bretschneider oznajmił, że jest anarchista, i spytał Szwejka, do jakiej organizacji przystać najlepiej.

Szwejk odpowiedział, że raz pewnego jakiś anarchista kupił u niego psa leonbergera za sto koron i ostatniej raty mu nie dopłacił.

Przy szóstej ćwiartce Bretschneider mówił o rewolucji i występował ostro przeciwko mobilizacji, na co Szwejk odpowiedział mu szeptem, pochylając się nad jego uchem:

— Akurat przyszedł do lokalu jakiś gość, więc uważaj pan, żeby nic nie słyszał, bo mógłby pan z tego mieć przykrości. Widzi pan przecie, że Palivcowa już płacze.

Palivcowa naprawdę płakała, siedząc na krześle przy szynkwasio.

— Czemu pani płacze, pani gospodyni? — zapytał Bretschneider. — Po trzech miesiącach wygramy wojnę, będzie amnestia, mąż pani wróci do domu i wtedy sobie popijemy. Czy może jest pan zdania, że tej wojny nie wygramy? — zwrócił się do Szwejk.

— Kto by tam ciągle walczył takie rzeczy — rzekł Szwejk. — Wygrać musimy, i basta, ale teraz idę do domu, bo już czas na mnie.

Szwejk zapłacił, co był winien, i powrócił do swojej starej posługaczki, pani Müllerowej, która się bardzo wystraszyła, gdy spostrzegła, że człowiekiem, który otwiera kluczem drzwi, jest pan Szwejk.

— Myślałam, proszę pana, że pan powróci dopiero za kilka lat — rzekła ze zwykłą swoją szczerością. — Ja tymczasem z żalu za panem wzięłam sobie na kwatere portiera z nocnej kawiarni, bo u nas była już trzy razy rewizja, a gdy nic nie mogli znaleźć, powiedzieli, że pan jest zgubiony, bo widać, jaki pan wyrafinowany.

Szwejk zauważył natychmiast, że nieznany obcy człowiek urządził się w jego mieszkaniu jak najwygodniej. Spał na jego łóżku i okazał się nawet tak dalece szlachetny, że zadowolił się połową łóżka, a na drugiej połowie umieścił jakieś długowłose stworzenie, które spało objawszy go przez wdzięczność za szyję. Zaś przed łóżkiem leżały w nieładzie części garderoby męskiej i damskiej. Z tego chaosu można było łatwo wywnioskować, że portier nocnego lokalu powrócił do domu w dobrym usposobieniu.

— Panie — rzekł Szwejk, potrząsając intruzem — bo pan się spóźni na obiad. Byłoby mi bardzo przykro, gdyby pan na mnie narzekał, że wyrzuciłem pana dopiero wtedy, jak już nigdzie nie było można dostać nic do zjedzenia.

Portier z nocnego lokalu był bardzo zaspany, więc trwało dość długo, zanim pojął, że właściciel łóżka powrócił do domu i ma do tego łóżka pretensje.

Obyczajem wszystkich portierów nocnych lokali i ten pan wyraził się, że spierze każdego, kto go będzie budził, i próbował spać dalej.

Szwejk pozbierał tymczasem części jego garderoby, przyniósł mu je do łóżka i potrząsając śpiochem energicznie, rzekł:

— Jeżeli się pan nie ubierze, to spróbuję wyrzucić pana na ulicę tak, jak pan leży w łóżku. Będzie dla pana wielkim przywilejem, jeśli wyleci pan stąd ubrany.

— Chciałem spać do godziny ósmej wieczorem — odezwał się urażony portier, wdziękając spodnie. — Płacę tu za łóżko dwie korony dziennie tej pani i mam prawo przyprowadzać tu sobie panienki z lokalu. Wstawaj, Mańka.

Gdy zapinał kołnierzyk i zawiązywał krawat, opamiętał się już tak dalece, że zaczął zapewniać Szwejka, iż „Mimoza” jest jednym z najprzypoitoznych nocnych lokali, do którego mają dostęp jedynie te damy, które mają książeczki policyjne w zupełnym porządku. Prosił też serdecznie Szwejka, aby zechciał odwiedzić jego kawiarnię.

Natomiast towarzyszka jego nie była zadowolona z takiego obrotu rzeczy i zaczęła wymyślać Szwejkowi, używając bardzo przyzwoitych wyrazów, z których najprzypoitozniejszy był:

— Ty smyku arcykapłański!

Po odejściu intruzów zabrał się Szwejk do zrobienia porządku ze swoją gospodynią, ale nie znalazł po niej żadnego śladu, prócz kawałka papieru, na którym były ołówkiem nagryzmołone słowa pani Müllerowej, wypowiadającej się zazwyczaj z wielką łatwością. Tym razem chodziło o żalosną przygodę z odnajęciem łóżka pana Szwejka portierowi nocnej kawiarni.

„Niech mi pan wielmożny wybacz, że mnie pan już nigdy nie zobaczy, albowiem wyskoczę oknem”.

„Łgarstwo” — rzekł do siebie Szwejk i czekał.

Po upływie pół godziny pani Müllerowa wsunęła się na palcach do kuchni, nieszczęśliwa i skruszona, a na jej zgnębioej twarzy widać było, iż oczekuje od Szwejka słowa pociechy.

— Jak pani chce skakać oknem — rzekł Szwejk — to niech pani idzie do pokoju, okno otworzyłem. Skakanie z okna kuchennego odradzam pani, ponieważ spadnie pani do ogródka na róże, krzaki się

pogniotą i musiałaby pani za nie płacić. Z okna w pokoju spadnie pani na trotuar, a jeśli dobrze pójdzie, to i skręci pani kark. Ale jeśli ma pani pecha, to połamie tylko wszystkie żebra, ręce i nogi, będzie tylko wydatek na doktora i na szpital.

Pani Müllerowa wybuchnęła płaczem, oddaliła się po cichu do pokoju, zamknęła okno, a gdy wróciła, rzekła:

— Jest taki przeciąg, a to niedobrze przy pańskim reumatyzmie.

Potem poszła zasłać łóżko, z niezwykłą troskliwością doprowadziła wszystko do porządku i wróciwszy do Szwejka, który siedział w kuchni, mówiła, roniąc łzy:

— Te dwa szczenięta, proszę pana, cośmy mieli na podwórku, zdechły. A ten bernardyn uciekł, jak tu robili rewizję.

— A, na miły Bóg! Biedny pies może się ładnie wsypać, bo teraz z pewnością szukać go będzie policja.

— Ugryzł jednego pana komisarza policji, gdy go przy rewizji wyciągał spod łóżka — mówiła dalej pani Müllerowa. — Najpierw jeden z tych panów rzekł, że ktoś siedzi pod łóżkiem, więc wezwali tego bernardyna w imieniu prawa, żeby wylaźł spod łóżka, a ponieważ nie usłuchał, więc go wyciągnęli. A on ich chciał pogryźć, a potem rzucił się do drzwi i więcej nie wrócił. I mnie też przesłuchiwali, kto do nas chodzi i czy nie dostajemy jakich pieniędzy z obcych krajów, a potem robili uwagi, że jestem głupia, gdy im powiedziałam, że z obcych krajów przychodzą teraz pieniądze bardzo rzadko, że ostatnio przyszły pieniądze tylko od pana dyrektora z Brna, niby ta zaliczka sześćdziesiąt koron na kota angorskiego, którego pan ogłaszał w gazecie, a zamiast którego posłał mu pan w skrzynce od daktyli ślepe szczenię, foksteriera. Potem rozmawiali ze mną bardzo grzecznie i polecili mi tego portiera z nocnego lokalu, żebym się sama w mieszkaniu nie bała. O, tego portiera, którego pan raczył wyrzucić...

— Ja już mam z urzędami takiego pecha, pani Müllerowo. Teraz zobaczy pani, ilu tych panów będzie przychodziło kupować psy — westchnął Szwejk.

Nie wiem, czy ci panowie, którzy już w czasie niepodległości przeglądali archiwum policji, zdołali odszyfrować poszczególne pozycje tajnego funduszu dyspozycyjnego policji państwowej, wśród których znajdowały się takie: B... 40 K, F... 50 K, L... 80 K itd., ale mylili się stanowczo, jeśli przypuszczali, że B., F., L. to początkowe litery nazwisk takich panów, którzy za 40, 50 i 80 koron sprzedawali naród czeski czarno-żółtemu orłu.

„B” znaczyło bernardyn, „F” — foksterier, a „L” — leonberger. Wszystkie te psy sprowadzał Bretschneider od Szwejka do dyrekcji policji. Były to pokraczne kundle niemające nic wspólnego z jakimikolwiek rasowymi psami, za jakie je Szwejk sprzedawał.

Bernardyn był mieszańcem jakiegoś partackiego pudła i podwórzowego kundla, foksterier miał uszy jamnika, był duży jak pies rzeźnicki, a nogi miał takie pałakowate, jakby właśnie przebył angielską chorobę. Leonberger łbem przypominał kudłaty łeb stajennego pinczera, ogon miał ucięty, był niski jak jamnik, a zadek miał taki goły jak słynne amerykańskie pieski-naguski.

Potem przyszedł do Szwejka wywiadowca Kalous i kupił jakiegoś wystraszonego potworka przypominającego hienę cętkowaną, z grzywą szkockiego owczarka, a w rubryce tajnego funduszu dyspozycyjnego znalazła się pozycja: D... 90 K.

Ten potworek miał reprezentować doga.

Ale nawet Kalousowi nie udało się usłyszeć czegoś od Szwejka. Zyskał on akurat tyle, co i Bretschneider. Najzręczniejsze dyskusje polityczne umiał Szwejk sprowadzić na temat leczenia nosacizny u szczeniąt, a najchytrzej i najpodstępniej zastawiane sidła miały tylko ten jeden skutek, że Bretschneider wracał do domu z coraz to nowym i coraz fantastyczniej skrzyżowanym kundlem.

I na tym skończyła się kariera sławnego wywiadowcy Bretschneidera. Kiedy w mieszkaniu swoim miał już siedem takich pokracznych kundli, zamknął się razem z nimi w pokoju i tak długo nie dawał im nic jeść, dopóki go nie pożały.

Miał tyle honoru, że skarbowi zaoszczędził kosztów swego pogrzebu.

W jego służbowych papierach w dyrekcji policji w rubryce „Awanse służbowe” znalazła się taka uwaga, pełna tragizmu: „Pozarty przez własne psy”.

Gdy Szwejk dowiedział się o tym tragicznym wydarzeniu, rzekł tylko:

— Ciekawi mnie, jak takiego Bretschneidera złożą do kupy na Sądzie Ostatecznym?

VII

Szwejk rusza na wojnę

W czasach gdy lasy nad Rabą w Galicji widziały uciekające przez Rabę wojska austriackie, a w Serbii austriackie dywizje jedna po drugiej dostawały w skórę, co im się zresztą dawno i rzetelnie należało, austriackie Ministerstwo Wojny przypomniało sobie o Szwejkowi i wezwało go, aby pośpieszył wyciągać mocarstwo z bryndzy.

Gdy Szwejkowi przynieśli wezwanie, że za tydzień ma się stawić na Strzeleckiej Wyspie do superrewizji wojskowej, leżał akurat w łóżku, dotknięty atakiem reumatyzmu.

Pani Müllerowa była w kuchni i gotowała mu kawę.

— Pani Müllerowo — ozwał się w pokoju cichy głos Szwejka — pani Müllerowo, proszę do mnie na chwilkę.

Gdy posługaczka stanęła przy łóżku, rzekł Szwejk znowu takim cichym głosem:

— Niech pani siada, pani Müllerowo.

W głosie jego drgało coś tajemniczego i uroczystego.

Gdy pani Müllerowa usiadła, Szwejk wyprostował się na łóżku i rzekł:

— Idę na wojnę.

— Przenajświętsza Panienko! — zawołała pani Müllerowa. — Co pan tam będzie robił?

— Walczyć będę — grobowym głosem odpowiedział Szwejk. — Z Austrią kłapa. U góry włązał nam już do Krakowa, a na dole pchają się do Węgier. Młóca nas jakby żyto jakie, gdzie spojrzeć lanie, i dlatego wołają mnie na wojnę. Przecież czytałem pani wczoraj gazetę, jako drogą ojczyznę naszą spowiły niejaki chmury.

— Ale przecież pan się ruszać nie może.

— To nic nie szkodzi, pani Müllerowo, pojedą na wojnę w wózku. Zna pani tego cukiernika na rogu, toż on ma taki wózek. Woził w nim przed laty swego chromego i złośliwego dziadunia na świeże powietrze. Na tym wózku, pani Müllerowo, zawiezie mnie pani na wojnę.

Pani Müllerowa wybuchnęła płaczem.

— Proszę pana, czy nie każe pan sprowadzić doktora?

— Nie trzeba. Prócz tych moich nóg to ja jestem całkiem zdrowy *kanonenfutter*¹, a w takich czasach, gdy z Austrią jest tak kiepsko, każdy kaleka musi być na swoim miejscu. Proszę spokojnie gotować kawę.

Podczas gdy pani Müllerowa, zapłakana i wzruszona, cedziła kawę, dobry wojak Szwejk śpiewał sobie w łóżku:

Jenerał Windischgrätz i wojenne pany
Od samego wschodu słońca wojowały.

Hop, hop, hop!

Wojnę rozpoczęli i tak zawołali:

„Pomóż nam Chrystus Pan z Przenajświętszą Panną”.

Hop, hop, hop!

Wystraszona pani Müllerowa pod wrażeniem strasznego śpiewu wojennego zapomniała o kawie i drżąc na całym ciele, przysłuchiwała się, jak dobry wojak Szwejk, siedząc w łóżku, dalej wyśpiewywał:

Z Panienką Maryją i te cztery mosty,
Hej, postaw, Piemoncie, mocniejsze forposty!

Hop, hop, hop!

¹ *kanonenfutter* (niem.) – mięso armatnie.

Była bitwa, była tam, pod Solferino,
Aż tam krew żołnierska potokami płynie,
Hop, hop, hop!
Krwi aż po kolana, trupów co niemiara,
Bo tam krzepko wojowała nasza wiara.
Hop, hop, hop!
Hej, ty dzielna wiaro, nie lękaj się nędzy,
Bo za tobą wiozą pełen wóz pieniędzy.
Hop, hop, hop!

— Olaboga, proszę pana! — ozwał się w kuchni głos żalosny, ale
Szwejk kończył akurat swoją pieśń wojenną:

Pełen wóz pieniędzy, w powozie dziewczęta —
Nie masz świetniejszego nad nasz regimentu.
Hop, hop, hop!

Pani Müllerowa dopadła drzwi i pobiegła po lekarza. Powróciła za godzinę, kiedy Szwejk właśnie podrzemywał.

Zbudził go ze snu grubawy pan, który przez chwilę trzymał dłoń na jego czole i mówił:

— Niech pan się nie boi, ja jestem doktor Pavek z Vinohrad. Daj pan rękę. Ten termometr proszę włożyć pod pachę... Dobrze. Pokaż pan język, jeszcze, schowaj pan język. Na co umarł pański ojciec? Na co matka?

W chwili więc gdy Wiedeń życzył sobie, aby wszystkie narody Austro-Węgier składały najświetniejsze przykłady wierności i uległości, doktor Pavek zapisywał Szwejkowi brom, aby zmniejszyć jego zapał patriotyczny, i zalecał statecznemu i dobremu wojakowi Szwejkowi, aby nie myślał o wojnie.

— Niech pan leży spokojnie i nie denerwuje się, a ja jutro znowu przyjdę.

Gdy przyszedł nazajutrz, pytał w kuchni panią Müllerową, jak się ma chory.

— Coraz gorzej, panie doktorze — odpowiedziała z prawdziwym smutkiem. — W nocy, gdy go reumatyzm łamał, śpiewał, z przeproszeniem, hymn austriacki.

Doktor Pavek uważał, że na ten nowy wybuch lojalności pacjenta trzeba zareagować zwiększeniem dawki bromu.

Na trzeci dzień meldowała mu pani Müllerowa, że Szwejk ma się jeszcze gorzej.

— Po obiedzie, panie doktorze, posłał po mapę frontu, a w nocy majaczyło mu się, że Austria wygra tę wojnę.

— A czy bierze proszki według przepisu?

— Jeszcze nawet nie posłał po nie.

Doktor Pavek wybuchnął gniewem, nie szczędząc pacjentowi ostrych wyrzutów, i zanim odszedł, zapewnił Szwejka, że nigdy do niego nie przyjdzie i nie będzie leczył człowieka, który nie przyjmuje jego lekarskiej pomocy i bromu.

Pozostawały już tylko dwa dni do terminu, w którym Szwejk miał stanąć przed komisją poborową.

Tymczasem Szwejk poczynił należyte przygotowania. Najpierw wysłał panią Müllerową, aby mu kupiła czapkę wojskową, a następnie polecił jej, aby od cukiernika na rogu wypożyczyła wózek, na którym cukiernik woził swego chromego i złego dziadunia na świeże powietrze. Potem przypomniał sobie, że potrzebne mu są kule. Na szczęście cukiernik miał jeszcze i kule jako rodzinną pamiątkę po swoim dziaduniu.

Brakowało już tylko rekruckiego bukiecika. Postarała się o niego pani Müllerowa, która w ciągu tych kilku dni znacznie schudła i gdzie się ruszyła, tam płakała.

I oto pewnego pamiętnego dnia na ulicach praskich ukazał się żywy dowód wzruszającej lojalności.

Stara niewiasta popychała wózek, na którym siedział człowiek w czapce wojskowej z wyglansowanym „bączkiem”. Człowiek ten wymachiwał kulami, a na jego surducie jaśniał rekrucki bukiecik.

Mąż ów, nie przestając wymachiwać kulami, wołał po praskich ulicach:

— Na Białogród! Na Białogród!

Za nim kroczył tłum ludzi, który z małej gromadki rozrastał się coraz bardziej i szedł za Szwejkiem wiernie od samego domu, z którego ten wyruszył na wojnę.

Szwejk zdołał zauważyć, że niektórzy policjanci, stojący na rogach ulic, salutowali mu.

Na placu Wacławskim tłum otaczający wózek Szwejka wzrósł do kilkuset głów, a na rogu ulicy Krakowskiej tłum ten obił jakiegoś korporanta w dekle, który przechodząc, wołał do Szwejka:

— *Heil! Nieder mit den Serben!*¹

Na rogu ulicy Vodiczki na tłum wpadła policja konna i rozpedziła go.

Gdy Szwejk przedstawił rewirowemu inspektorowi czarno na białym, że dzisiaj musi stanąć przed komisją poborową, inspektor był trochę rozczarowany, a chcąc zapobiec awanturze, wysłał dwóch konnych policjantów, aby towarzyszyli Szwejkowi aż na Strzelecką Wyspę.

O całym tym wydarzeniu ukazał się w „Praskiej Gazecie Urzędowej” taki artykuł:

Patriotyzm kaleki

„Wczoraj przed południem przechodnie na ulicach praskich byli świadkami sceny, która wymownie świadczy o tym, że w tej wielkiej i poważnej dobie także i synowie narodu naszego składają najświetniejsze przykłady wierności i uległości dla tronu i dla sędziwego monarchy. Wydaje nam się, jakby powróciły czasy starożytnych Greków i Rzymian, kiedy to Mucius Scaevola podążył do boju, zapomniawszy o swej spalonej ręce. Najświętsze uczucia i interesy były wczoraj zdemonstrowane przez kalekę o kulach, którego stara matuchna wiozła na wózku dla chorych. Ten syn narodu czeskiego z dobrej woli, nie bacząc na swoje cierpienie, zgłosił się do wojska, aby życie swoje i mienie oddać za cesarza. A jeśli wołanie jego: »Na Białogród!« znalazło takie żywe echo na ulicach praskich, jest to tylko dowodem, że prężenie są żywymi wzorami miłości ojczyzny i domu monarszego”.

¹ *Heil! Nieder mit den Serben!* (niem.) Hura! Precz z Serbami!

Mniej więcej tak samo pisał „Prager Tagblatt”, kończąc artykuł swój słowami, iż kalece ochotnikowi towarzyszył zastęp Niemców, którzy własnymi rękoma osłaniali go przed zlinczowaniem przez czeskich agentów sławetnej koalicji.

„Bohemia” zamieściła tę wiadomość, żądając, aby kaleka patriota został nagrodzony, i dodała, że dla niego przyjmować będzie od niemieckich obywateli ofiary, które składać należy w administracji pisma.

Podług tych trzech pism ziemia czeska nie mogła wydać obywatela szlachetniejszego, niż był Szwejk, ale w komisji poborowej byli zgoła odmiennego zdania.

Osobliwie nie zgadzał się z głosami pism główny lekarz wojskowy Bautze. Był to mąż nieubłagany, który we wszystkim dopatrywał się próby oszukańczego uchylenia się od wojny, frontu, kuli i szrapnela.

Znane jest jego zdanie: „*Das ganze tschechische Volk ist eine Simulantenbande*”¹.

W ciągu dziesięciu tygodni swej działalności wśród jedenastu tysięcy cywilów zdemaskował dziesięć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt i dziewięć symulantów i byłby zdemaskował także i jedenastotysięcznego, gdyby tego szczęściarza nie poraził paraliż akurat w chwili, gdy Bautze ryknął na niego:

— *Kehrt euch!*²

— Zabrać tego symulanta! — rozkazał stwierdziwszy, że nie żyje.

Przed nim tedy stanął owego pamiętnego dnia Szwejk, tak jak inni całkiem nagi, skromnie osłaniając nagość swoją kulami, na których się opierał.

— *Das ist wirklich ein besonderes Feigenblatt*³ — rzekł Bautze. — Takich listków figowych w raju nie było.

— Zwolniony z wojska z powodu idiotyzmu — zauważył sierżant, zaglądając do papierów urzędowych.

— I co panu jeszcze brakuje? — zapytał Bautze.

¹ *Das ganze tschechische Volk ist eine Simulantenbande* (niem.) – Wszyscy Czesi to banda symulantów.

² *Kehrt euch!* (niem.) – W tył zwrot!

³ *Das ist wirklich ein besonderes Feigenblatt* (niem.) – To naprawdę specjalny listek figowy.

— Posłusznie melduję, że mam reumatyzm, ale najjaśniejszemu panu będę służył do ostatniej kropli krwi — rzekł Szwejk. — Mam obrzęknięte kolana.

Bautze spojrział na dobrego wojaka Szwejka straszliwym spojrzeniem i ryknął:

— *Sie sind ein Simulant!*¹ — a zwracając się do sierżanta, z lodowatym spokojem dodał: — *Den Kerl sogleich einsperren!*²

Dwaj żołnierze z bagnetami odprowadzili Szwejka do więzienia garnizonowego.

Szwejk szedł, wspierając się na kulach i z przerażeniem spostrzegł, że jego reumatyzm zaczyna znikać.

Pani Müllerowa, która czekała na Szwejka na moście przy wózku, zapłakała, ujrzawszy go idącego pod bagnetami żołnierzy i oddaliła się od wózka, aby już nigdy do niego nie powrócić.

A dobry wojak Szwejk kroczył skromnie w asyście uzbrojonych obrońców państwa.

Bagnety błyszczały w promieniach słońca, a na Małej Stranie obrócił się Szwejk przed pomnikiem Radetzkiego i zwracając się do tłumu, który mu towarzyszył, zawołał:

— Na Białogród! Na Białogród!

A marszałek Radetzky w zadumie spoglądał ze swego cokołu za oddalającym się dobrym wojakiem Szwejkem, którego surdut zdobił rekrucki bukiet, kulejącym i wspartym na starych kulach, podczas gdy jakiś poważny pan pouczał ludzi przechodzących obok, że prowadzą „desentera”.

¹ *Sie sind ein Simulant!* (niem.) – Jesteście symulantem!

² *Den Kerl sogleich einsperren!* (niem.) – Zamknąć go natychmiast!

VIII

Szwejk symulantem

W owych wielkich czasach lekarze wojskowi czynili wszystko, co tylko mogli, aby z symulantów wypędzić szatana sabotażu i powrócić ich na łono armii.

Zaprowadzono kilka stopni tortur symulantów i ludzi podejrzanych o symulowanie, do których należeli: suchotnicy, reumatycy, ludzie dotknięci przepukliną, chorobą nerek, tyfusem, cukrzycą, zapaleniem płuc i innymi chorobami.

Tortury, jakim symulanci byli poddawani, tworzyły pewien system, a stopnie mąk przedstawiały się tak:

1. Dieta ścisła, rano i wieczorem po filiżance herbaty w ciągu trzech dni, przy czym bez względu na to, na co się kto skarżył, dawano aspirynę na poty.
2. Żeby ludzie nie myśleli, że wojna to miód, dawano im obfite porcje chininy w proszku, co nazywało się „lizaniem chininy”.
3. Płukanie żołądka dwa razy dziennie litrem ciepłej wody.
4. Lewatywa z wody mydlanej i gliceryny.
5. Zawijanie w prześcieradło zmoczone w zimnej wodzie.

Byli tacy dzielni ludzie, którzy przecierpieli wszystkie pięć stopni mąk i zostali wywiezieni w prostej trumnie na cmentarz wojskowy. Ale nie brakło też małodusznych, którzy gdy dochodziło do lewatywy,

meldowali, iż już czują się dobrze i że nie życzą sobie niczego innego, tylko odejść na front z najbliższym batalionem marszowym.

W więzieniu garnizonowym umieszczono Szwejka w baraku szpitalnym, między takimi właśnie małodusznymi symulantami.

— Ja już nie wytrzymam — rzekł jego sąsiad, gdy go przyprowadzili z gabinetu lekarskiego, gdzie już po raz drugi przepłukano mu żołądek.

Człowiek ten symulował krótkowzroczność.

— Jutro pojadę do pułku — decydował się drugi sąsiad z lewej strony, który akurat dostał lewatywę, a symulował, że jest głuchy jak pień.

Na łóżku przy drzwiach umierał jakiś suchotnik zawinięty w prześcieradło zmoczone w zimnej wodzie.

— Już trzeci w tym tygodniu — rzekł sąsiad z prawej strony. — A tobie co dolega?

— Ja mam reumatyzm — odpowiedział Szwejk, co spowodowało wybuch śmiechu wszystkich dookoła. Śmiał się nawet umierający suchotnik, symulujący gruźlicę.

— Z reumatyzmem nie pchaj się między nas — poważnie napominał Szwejka grubawy mężczyzna. — Reumatyzm znaczy u nas akurat tyle co odciski. Ja mam anemię, brak mi połowy żołądka i pięciu żeber, a nikt mi nie wierzy. Był tu nawet jeden głuchoniemy, przez dwa tygodnie zawijali go co pół godziny w prześcieradło zmoczone w zimnej wodzie, co dzień robili mu lewatywę i płukali żołądek. Wszyscy sanitariusze byli przekonani, że już sprawę wygrał i że pójdzie do domu, a tu pan doktor przepisał mu coś na wymioty. O mało go te wymioty nie porozrywały i wtedy biedak upadł na duchu. „Nie mogę” — powiada — „nadal udawać głuchoniemego. Odzyskałem mowę i słuch”. Wszyscy go napominali, żeby nie gubił siebie, ale on swoje, że słyszy i mówi jak wszyscy ludzie. No i podczas ранnej wizyty zameldował się jako zdrowy.

— Trzymał się dość długo — zauważył człowiek, udający, że ma jedną nogę krótszą o cały decymetr — znacznie dłużej niż ten, który udawał, że go trafił szlag. Dość mu było trzech proszków chininy, jednej lewatywy i jednodniowego postu. Przyznał się i zanim doszło

do płukania żołądka, po paraliżu nie zostało śladu. Najdłużej trzymał się ten, co był pokąsany przez wściekłego psa. Gryzł, wył i trzeba przyznać, że robił to znakomicie, ale w żaden sposób nie mógł się zdobyć na pianę koło ust. Pomagaliśmy mu, jak tylko mogliśmy. Łaskotaliśmy go czasem przez całą godzinę przed wizytą, aż dostawał kurczów i siniał, ale piany na ustach jak nie było, tak nie było. Było to okropne. Gdy pewnego razu w czasie porannej wizyty poddawał się, było nam go żal. Stał przy łóżku, wyprostowany jak świeca, zasalutował i rzekł: „Posłusznie melduję, panie oberarzt, że ten pies, co mnie pokąsał, pewno nie był wściekły”. Doktor spojrział na niego tak jakoś dziwnie, że pokąsany zaczął się trząść na całym ciele i mówił dalej: „Posłusznie melduję, panie oberarzt, że mnie żaden pies w ogóle nie pokąsał, tylko ja sam ugryzłem się w rękę”. Po tym przyznaniu się do winy wszczęto przeciwko niemu dochodzenie o rozmyślne okaleczenie się, o to, że chciał sobie odgryźć rękę, żeby nie iść na wojnę.

— Wszystkie te choroby, w których potrzebna jest piana na ustach — mówił grubawy symulant — symuluje się bardzo ciężko, jak na przykład epilepsja. Był tu jeden taki z padaczką i mawiał, że jeden atak mniej czy więcej, to mu wszystko jedno, więc gdy trzeba było, miewał tych ataków do dziesięciu na dzień. Wił się w kurczach, zaciskał pięści, wytrzeszczał oczy, aż wyłaziły mu całkiem na wierzch, tłukł sobą o ziemię, wywalał język, jednym słowem, powiem wam, była to wielka choroba pierwszej klasy, taka wspaniała i rzetelna. Nagle zrobiły mu się wrzody, dwa na karku, dwa na plecach, i było po epilepsji, po zwijaniu się w kurczach, gdyż nie mógł głową poruszać ani leżeć, ani siedzieć. Dostał gorączki i w tej gorączce w czasie wizyty wszystko o sobie wygadał. A my mieliśmy krzyż pański z tymi jego wrzodami, ponieważ musiał u nas jeszcze przez trzy dni leżeć, zanim mu nie zebrały, i dostawał inną dietę, rano kawę z bułką, na obiad zupę, knedlik z sosem, wieczorem kaszę albo zupę, a my musieliśmy patrzeć z wypłukanymi żołądkami przy całkowitej diecie, jak ten drab żarł, mlaskał, chleptał, sapał i bekał z przeżarcia. W ten sposób trzem spośród nas odebrał resztę odwagi, więc też się przyznali. Leżeli tu z wadami serca.

— Zdaje się — mówił jeden z symulantów — że najlepiej symulować wariację. Tutaj, w sąsiedniej izbie, są dwaj nauczyciele, z których jeden dniem i nocą powtarza: „Stos Giordana Bruna płonie jeszcze, zrewidujcie proces Galileusza”, a ten drugi szczeka, naprzód trzy razy powoli: „Hau-hau-hau”, a potem pięć razy szybko raz za razem: „Hau-hauhauhauhau”, i znowu powoli, i tak bez końca. Wytrzymali tak już trzy tygodnie. Ja zrazu też chciałem udawać wariata, a mianowicie szal religijny, i wygłaszać kazania o nieomyślności papieskiej, ale wreszcie wystarałem się o raka żołądka od jednego fryzjera na Małej Stranie. Dałem mu piętnaście koron.

— Ja znam jednego komisarza w Brzevnovie — wtrącił inny pacjent — który za dziesięć koron zrobi wam taką gorączkę, że wyskoczycie oknem.

— To jeszcze nic — rzekł inny. — We Vrszovicach jest jedna akušerka, która za dwadzieścia koron umie wykręcić nogę tak ładnie, że się jest kaleką do samej śmierci.

— Mnie wykręcili nogę za pięć koron — dał się słyszeć głos gdzieś tam z rzędu łóżek stojących przy oknie. — Pięć koron i trzy piwa.

— Moja choroba kosztuje mnie już przeszło dwieście koron — rzekł jego sąsiad, człowiek suchy jak tyczka. — Wymieńcie truciznę, jaką tylko chcecie, ja zażywałem już wszystkich po trosze. Jestem żywym składem trucizn. Piłem sublimat, wdychałem parę rtęciową, gryzłem arsenik, paliłem i piłem opium, morfiną posypywałem sobie chleb, połykałem strychninę, piłem roztwór fosforu w siarkowodorze i kwas pikrynowy. Zmarnowałem sobie wątrobę, płuca, nerki, żółć, mózg, serce, kiszki. Nikt nie wie, na co jestem chory.

— Najlepiej — mówił jakiś głos od drzwi — zastrzyknąć sobie nafę pod skórę na rękę. Mój bratanek miał takie szczęście, że mu amputowali rękę po łokieć i teraz ma spokój z całą wojną.

— Widzicie więc — rzekł Szwejk — ile też każdy musi wycierpieć dla najjaśniejszego pana. I płukania żołądka, i lewatywy. Kiedym przed laty służył w pułku, bywało jeszcze gorzej. Takiego pacjenta wiązali w kij i wrzucali do lochu, żeby się wykurował. Gdzie tam było szukać łóżek

z materacami, jak tutaj, albo spluwaczek. Gołe prycze i na takich gołych pryczach leżeli chorzy. Raz miał jeden chory prawdziwy tyfus, a drugi czarną ospę. Obu związano w kij, a doktor pułkowy kopał ich w brzuchy i mówił, że są symulanty. Potem, gdy obaj ci żołnierze pomarli, dostała się ta rzecz do parlamentu i było o tym w gazetach. Zakazali nam czytać pisma i robili rewizję kuferków, czy kto ma takie gazety. A ponieważ ja zawsze muszę mieć pecha, więc w całym pułku u nikogo takiej gazety nie znaleźli, tylko u mnie. Zaprowadzili mnie do raportu pułkowego, a nasz oberst, taka małpa, Panie świeć nad jego duszą, zaczął na mnie ryczeć, żebym stał prosto i żebym powiedział, kto o tym do gazety napisał, bo jak nie, to mi gębę rozedrze od ucha do ucha i wsadzi mnie do paki, aż szernieję. Potem przyszedł doktor pułkowy, wymachiwał mi pięścią przed nosem i krzyczał: „*Sie verfluchter Hund, sie schäbiges Wesen, sie unglückliches Mistvieh*, ty smyku socjalistyczny!”. Spoglądałam wszystkim rzetelnie w oczy, nawet nie mrugnę, i milczę, a jedną rękę trzymam przy czapce, drugą na szwie u portek. Latali koło mnie jak te psy, szczekali na mnie, a ja ciągle nic. Milczę, salutuję, a lewą rękę trzymam na szwie portek. Gdy się tak wściekali przez jakieś pół godziny, oberst przyskoczył do mnie i ryknął: „Jesteś idiota, czy nie jesteś idiota?”. „Posłusznie melduję, panie oberst, że jestem idiota”. „Dwadzieścia i jeden dni więzienia za idiotyzm, dwa posty tygodniowo, miesiąc koszarniaka, czterdzieści osiem godzin słupka, natychmiast go zamknąć, nie dać mu żreć, związać go, pokazać mu, że państwo idiotów nie potrzebuje. Już my ci tutaj, lajdaku, wybijemy te gazetki z głowy” — zdecydował wreszcie po długim lataniu pan oberst. Podczas gdy siedziałem, w koszarach działa się istne cuda. Nasz oberst zakazał wszystkim żołnierzom czytywać gazety, choćby nawet „Praską Gazetę Urzędową”, a w kantynie nie wolno było zawiązać w gazety nawet parówek czy gomółek. Od owego czasu żołnierze zaczęli właśnie czytać i nasz pułk należał do najbardziej wykształconych. Czytywaliśmy wszystkie gazety, a w każdej kompanii układano wierszyki i piosenki na pana obersta. A jak się w pułku coś takiego przytrafiło, to zawsze wśród szeregowców znalazł się taki dobrodziej, który przesłał do gazet opis tego pod tytułem: *Maltretowanie żołnierzy*. Ale nie dość na

tym. Pisali do posłów w Wiedniu, żeby się za nimi wstawiali, a ci zaczęli wnosić interpelację jedną za drugą, że nasz pan oberst jest zwierzę itp. Jakiś minister wyprawił do nas komisję, żeby wszystko zbadała, a niejaki Franta Henczel z Hlubokiej dostał potem dwa lata, ponieważ to on zwrócił się do Wiednia do posłów z powodu policzka, który dostał na placu ćwiczeń od pana obersta. A gdy komisja odjechała, pan oberst kazał nam wszystkim stanąć w szeregach i przed całym pułkiem wywodził, że żołnierz to żołnierz, musi stulić pysk i służyć, a jeśli mu się coś nie podoba, to wyłamuje się spod subordynacji. „Takeście sobie, łajdaki, myśleli, że wam ta komisja coś pomoże” — mówił pan oberst — „*drek*¹ wam pomogła. A teraz każda kompania będzie przede mną defilowała i będzie głośno powtarzała to, co właśnie powiedziałem”. Więc maszerowaliśmy, jedna kompania za drugą, *rechts schaut*², gdzie stał pan oberst, ręce trzymaliśmy na rzemieniu karabinów i ryczeliśmy na niego: „Takeśmy sobie, łajdaki, myśleli, że nam ta komisja coś pomoże, *drek* nam pomogła”. Pan oberst się śmiał, aż się za brzuch trzymał, ale wreszcie przyszła kolej na 11 kompanię. Idzie, wali nożyskami w ziemię, a gdy podchodzi do pana obersta, nic, milczy, ani słówka. Pan oberst się zaczerwienił jak kogut i zawrócił 11 kompanię, żeby powtórzyła. Defiluje i milczy, tylko szereg za szeregiem impertynencko patrzy panu oberstowi w oczy. „*Ruht!*”³ — powiada pan oberst, chodzi po dziedzińcu, bije się biczyskiem po cholewach, pluje, potem nagle staje i ryczy: „*Abtreten!*”⁴ Siada na swoją szkapinę i wyjeżdża za bramę. Czekaliśmy, co się stanie z 11 kompanią, a tymczasem nic i ciągle nic. Czekamy jeden dzień, dwa, cały tydzień, a tu ciągle nic i nic. Pan oberst już się w koszarach wcale nie pokazał, z czego szeregowcy, podoficerowie i oficerowie ogromnie się cieszyli. Potem dali nam nowego obersta, a o tym dawnym mówili, że jest w jakimś sanatorium, ponieważ napisał własnoręcznie list do najjaśniejszego pana, że 11 kompania się zbuntowała.

¹ *drek* (niem.) – gówno

² *rechts achaut* (niem.) – na prawo patrz

³ *Ruht* (niem.) – Spocznij!

⁴ *Abtreten!* (niem.) – Odmaszerować!

Nadeszła pora popołudniowej wizyty. Wojskowy lekarz Grünstein chodził od łóżka do łóżka, a za nim podoficer sanitariusz z księgą ordynacyjną.

— Macuna?!

— Jestem!

— Lewatywa i aspiryna! Pokorny?!

— Jestem!

— Płukanie żołądka i chinina! Kovarzik?!

— Jestem!

— Lewatywa i aspiryna! Kotiatko?!

— Jestem!

— Płukanie żołądka i chinina!

I w takim porządku szło jedno za drugim, mechanicznie, ostro, bez litości.

— Szwejk?!

— Jestem!

Doktor Grünstein popatrzył na nowego gościa.

— Co wam jest?

— Posłusznie melduję, że mam reumatyzm!

Doktor Grünstein podczas wykonywania swego zawodu przyswoił sobie dużo wyrażeń łagodnie ironicznych, które działały nieraz daleko skuteczniej niż krzyk.

— Aha, reumatyzm — odpowiedział Szwejkowi. — Oczywiście, bardzo ciężka choroba. I jaki wyjątkowy przypadek, żeby dostać reumatyzmu akurat wtedy, gdy jest wojna światowa i gdy trzeba iść na wojnę. Przypuszczam, że wam bardzo przykro z tej racji.

— Posłusznie melduję, że mi jest, panie oberarzt, strasznie przykro z tej racji.

— Patrzcie, patrzcie, jest mu przykro. Bardzo to pięknie z waszej strony, żeście sobie reumatyzm zostawili właśnie na teraz i żeście sobie o nas przypomnieli. W czasie pokoju biega taki biedaczek jak koźle, ale gdy wybuchnie wojna, zaraz dostaje reumatyzmu i kolana przestają mu służyć. Kolana was nie bolą?